

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



Wielki powrót materii

/ M3

Ukraina / M8

Jak nie wpaść do czyścca UE

Bruksela planuje zaproponować rządowi w Kijowie „członkostwo light”. Czy Ukraina pozostanie w unijnym przedpokoju na zawsze? pytają Karolina Wójcicka i Michał Potocki

Analiza / M12

Inteligentne i niebezpieczne

UE wciąż nie zauważyła rewolucji związanej z upowszechnieniem się inteligentnych samochodów, a za rogiem już czają się pojazdy autonomiczne ostrzega Piotr Wójcik

USA / M14

Hazard czy zbiorowa mądrość

Platformy prognostyczne pozwalają obstawiać prawie każde zdarzenie i zarabiają miliardy z błogosławieństwem ekipy Donalda Trumpa pisze Emilia Świętochowska



Analiza/ M6

Świat się zbroi

Na Europę przypadło w 2025 r. już 21 proc. globalnych wydatków wojskowych, niewiele mniej na Chiny i Rosję. Niedoścignionym liderem i tak pozostają Stany Zjednoczone

pisze Witold Sokała



Polityka/ M10

Integracja bez ideologii

PiS wchodzi w buty Konfederacji i Brauna, coraz wyraźniej sygnalizując, że Unia to nie oni

mówi Borys Budka

Wywiad/ M16

Co idee robią ludziom

Przedwojenna młodzież opowiedziała się za najbardziej radykalnymi rozwiązaniami, bo bała się przyszłości

tłumaczy Izabela Mrzygłód

Historia/ M19

Sojusz na kredyt

Umowa z Rambouillet przyniosła Polsce nie tylko ogromną pożyczkę, lecz także odnowienie sojuszu z Francją

wyjaśnia Andrzej Krajewski

Kultura/ M24

Bezkarna lista przebojów

Czy wolno zaśpiewać cudzą piosenkę i udostępnić ją na Facebooku?

zastanawia się Konrad Wojciechowski

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkiewicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń (kierownik), Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PiK), Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot, Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap, Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Michał Krukowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30, 801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
® – znak odpłatności;
©© – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

WIELKA LICZEBNIA

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter, Garmond Press, GLM, AS Press oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Wielki powrót materii



FOT. - DEDITYAY/SHUTTERSTOCK

W przekazie dominują kod, sztuczna inteligencja, modele językowe, a tymczasem za tym wszystkim stoją chipy, centra danych i gigantyczna infrastruktura energetyczna, a zatem aluminium, miedź, kobalt, srebro...

Z Dominikiem

Kopińskim

rozmawia Sebastian Stodolak

Żyjemy w ciekawych czasach dla ekonomistów badających międzynarodowe stosunki gospodarcze. Jeszcze niedawno zajmowaliście się przede wszystkim udowodnianiem, że globalny handel działa wspaniale...

Tak. Choć i wtedy ekonomiści się spierali, nie kwestionowali jednak pewnych dogmatów. Było mniej kontrowersji i sporów w kwestiach fundamentalnych. W głównym nurcie ekonomii nie mówiło się zupełnie o polityce przemysłowej. Dzisiaj polityka przemysłowa jest częścią mainstreamu. Otwarcie się dyskutuje, w jakim zakresie wybierać zwycięzców i dawać upadać przegrany...

To dzięki polityce przemysłowej Chiny chcą wygrać z USA wojnę o dominację.

Tak. To jest zawodnik wagi ciężkiej. Żeby to udowodnić, można sięgnąć po dowolną statystykę. Weźmy chociażby tę mówiącą, że ok. jednej trzeciej produkcji przemysłowej na świecie jest generowana w Chinach. Albo

te, że ten kraj pochłania połowę całego światowego wydobycia miedzi. W kontekście planu budowy swojej pozycji w światowej gospodarce wyjątkowo ważne jest zagadnienie surowców krytycznych. To relatywnie świeże zagadnienie; gdybyśmy o tym rozmawiali 15 lat temu, to opublikowalibyśmy taki wywiad na łamach kwartalnika „Metale i Materiałoznawstwo”, a nie na łamach poczytnego, ogólnopolskiego dziennika...

Mowa o takich pierwiastkach, jak lit, kobalt, nikiel, grafit, mangan, miedź, pierwiastki ziem rzadkich, gal, german, wolfram albo magnez. To są materiały kluczowe dla elektromobilności, energetyki, produkcji baterii i półprzewodników, a także dla przemysłu obronnego.

Tak. Aż trudno uwierzyć, że był czas, kiedy takie branże jak górnictwo czy hutnictwo były uznawane za schyłkowe, nikomu niepotrzebne, do wykasowania... Poza tym istniało przeświadczenie, że zawsze można je relokować do tańszych państw, gdzie są bardziej liberalne regulacje dotyczące ochrony środowiska, niższe koszty pracy i niższe koszty energii, czyli generalnie do krajów rozwijających się. Dominowała koncepcja „just in time”, czyli nietrzymania wszystkiego

w swoich magazynach, żeby zwiększyć efektywność i poprawić rachunek ekonomiczny. Trzymamy tyle, ile potrzebujemy, a jeżeli zwiększa się popyt czy potrzeba domówienia określonych elementów, to je zamawiamy i one stosunkowo szybko do nas docierają. To pozwalało racjonalizować koszty i było realizowane w paradygmacie wolnego handlu, w duchu przewagi komparatywnej. Ale w końcu uznano to za ślepą uliczkę i obserwujemy obecnie coś, co moglibyśmy nazwać wielkim powrotem materii. Z jednej strony mamy przeświadczenie, że przechodzimy do chmury, coraz bardziej digitalizujemy gospodarkę i usługi. W przekazie dominują kod, sztuczna inteligencja, modele językowe, a tymczasem wszystkie te rzeczy, wszystkie nasze ambicje cyfrowe i energetyczne rozbijają się o surowce. Bo za tym wszystkim stoją chipy, centra danych i gigantyczna infrastruktura energetyczna, a zatem aluminium, miedź, kobalt, srebro itd.

Co sprawiło, że świat zerwał z modelem „just in time”?

Wydaje mi się, że pandemia. W jej wyniku wdrożono model „just in case”.

Na wszelki wypadek...

Tak. Orientujemy się bardziej na kwestię bezpieczeństwa, mitygo-

wania ryzyka, zmniejszania wrażliwości i zależności gospodarczych. Okazało się nagle, że gdy port w Szanghaju zostaje zamknięty albo Kanał Sueski zablokowany przez statek, to inne statki płynące z Azji muszą opływać całą Afrykę jak niegdyś Portugalczycy. I nagle musimy czekać na nowe auto, bo nie ma półprzewodników. W przypadku surowców nie uwzględniono faktu, że dostosowania łańcuchów dostaw zabierają bardzo dużo czasu, a podaż jest nieelastyczna w krótkim okresie. Nie da się zwiększyć produkcji surowców przez to, że zadzwonimy do szefa kopalni i powiemy, że na jutro potrzebujemy dodatkowych 500 t srebra czy żelaza. Uświadomienie sobie tego spowodowało, że prymat zysku przynajmniej częściowo ustąpił prymatowi bezpieczeństwa.

Jeśli weźmiemy za dobrą monetę opinię amerykańskiego komentatora ekonomicznego Noaha Smitha – że ten wcześniejszy model był możliwy w dużej mierze dzięki potędze militarnej USA, która chroniła szlaki handlowe. Widzialna ręka państwa pozwalała działać niewidzialnej ręce rynku.

Tylko to jest trochę inna debata, bardziej geopolityczna, a ja staram się od tego uciekać... ▷

Specjaliści od geopolityki jakoś od ekonomii nie stronią...
To prawda. (śmiech) Gospodarczy prymat USA rzeczywiście polegał na obecności militarnej i gwarantowaniu swobodnego przepływu towarów. Teraz przed nami odpowiedź na pytanie, czy można zjeść ciastko i mieć ciastko, czyli wycofać się, krzycząc „America First”, i jednocześnie utrzymać prymat gospodarczy.

Można?
Nie sądzę. Powiązanie USA z resztą świata jest tak wielokierunkowe, że próba funkcjonowania w bardziej autarkicznej i izolacionistycznej formie jest skazana na porażkę. Globalizacja nie zniknęła. Po prostu zmienia swój kształt i trajektorię, ale się pogłębia.

Handel międzynarodowy przecież spowalnia...
Może spowalnia handel towarami, ale usługami – rośnie. Weźmy chociażby globalnych gigantów cyfrowych, dane, chmurę, modele SaaS [Software as a Service, w których aplikacje są hostowane w chmurze i udostępniane przez internet w zamian za subskrypcję – red.], sztuczną inteligencję. Gdzie tu jest jakaś deglobalizacja? Szkielec gospodarki światowej ma charakter strukturalny i trudno sobie wyobrazić świat inny niż zglobalizowany.

Konflikty militarne często były początkiem imperiów i hegemonii. Czy faktycznie można się spodziewać, że w wymiarze gospodarczym świat będzie miał nowego hegemonia bez jakiegoś wielkiego, niszczącego wydarzenia, które totalnie poprzestawiałoby klocki? Potęga Państwa Środka narodziła się z tego, że Chińczycy mogli kooperować w ramach zglobalizowanego świata. Może w zdefragmentowanym świecie ona się z powrotem zwinie?

W ostatnich kilkuset latach mieliśmy cztery potęgi światowe w sensie gospodarczym: Holandię, Wielką Brytanię, USA i teraz Chiny. Zawsze obserwowaliśmy cykl wzrostu i erozji pozycji hegemonicznej. Historia na pewno się nie powtarza, ale jak ktoś kiedyś powiedział, rymuje się. Z tych rymów możemy wyciągnąć pewne prawidłowości. Wielka Brytania w XIX w. była niekwestionowaną potęgą, a funt był najważniejszą walutą świata. To Brytyjczycy zaczęli wtedy eksperymentować z wolnym handlem, wprowadzając go – mówiąc współczesnym językiem – reklamując i promując tę ideę. Gdy zaczęła rosnąć konkurencja ze strony USA (a także Niemiec), brytyjski entuzjazm wobec wolnego handlu zaczął słabnąć. Promowaniem go po II wojnie światowej zajął się więc nowy hegemon. No, ale wyrosły na nim Chiny. Więc dzisiaj Amerykanie mówią o zagrożeniach globalizacji i podnoszą cła. A co robią Chiny?

Wychwalają wolny handel. Właśnie. Chińczycy pytają dzisiaj, dlaczego administracja amerykańska chce torpedować ich eksport, skoro wiemy doskonale, że handel przysparza korzyści wszystkim

uczestnikom. Potęga gospodarcza korzysta z walorów wolnego handlu do momentu, kiedy wyłoni się rywal grający tej pozycji. Wówczas kolejny kraj przejmuje pałeczkę. Nie chcę się bawić w futurologa, ale to, czego nie możemy kwestionować, to wyłaniająca się potęga Chin, która jest sprzęgnięta z tym samym wektorem co globalizacja. Może gdyby globalizacja faktycznie się silnie cofnęła, byłoby inaczej, ale jest jak jest. Chiny mają i bliń dol. nadwyżki w handlu!

Zatem gdy Chiny ograniczają – np. Amerykanom – dostęp do swoich metali ziem rzadkich, to jest to raczej doraźna gra i element negocjacji niż trwały kierunek? Tak, globalizacja dla Chin jest tlenem. Przy czym one nie chcą rywalizować z USA. Amerykański inwestor Peter Thiel powiedział, że rywalizacja jest dla przegrywów, a celem powinien być monopol. Oczywiście mówił o start-upach, ale w Chinach myśli się podobnie. Pekin chce handlować ze światem jako monopolista. Staje się potęgą w produkcji i przetwórstwie surowców i to daje mu siłę przetargową. W 2025 r. Chińczycy dwukrotnie wprowadzili restrykcje eksportowe na pierwiastki ziem rzadkich – łącznie na 11 pierwiastków – czym wywołali panikę za oceanem. Pamiętajmy jednak, że nie zrobili tego z kaprysu ani dlatego, że Xi Jinping wstał lewą nogą z łóżka, tylko w odpowiedzi na agresywne albo asertywne, jak mówią Amerykanie, ruchy w zakresie polityki handlowej, czyli cła wymierzone w Chiny. I udało im się zmusić Trumpa do powrotu do stołu negocjacyjnego. Przekonał go do tego amerykański biznes, m.in. General Motors i inne koncerny motoryzacyjne, które musiały wstrzymać produkcję ze względu na brak surowców.

Ta weaponizacja, czyli uzbrajanie handlu międzynarodowego, może być elementem arsenału politycznego w trzeciej dekadzie XXI w.? Obawiam się, że tak. I w tej grze, używając języka z Gabinetu Ovalnego, to Chiny mają karty.

Jak w tym wszystkim ma się odnaleźć Unia Europejska? Pozostaniemy przy dostępie do surowców krytycznych jako mierniku potęgi gospodarki. Czy w ogóle da się realistycznie liczyć, że w krytycznych obszarach gospodarki możemy stworzyć sobie niezależne i pewne źródła dostaw?

W krótkim okresie pole manewru jest bardzo ograniczone – w ciągu kolejnych lat mamy nie tyle okno szans, ile okno ograniczeń. Uruchomienie kopalni zajmuje wiele lat. Na przykład w Szwecji to nawet 30 lat ze względu na regulacje i pozwolenia. Jeżeli chcemy przekopywać ziemię w Europie i pozyskiwać nowe surowce, to trudno będzie szybko pokonać biurokrację i opór społeczny. Żeby to zrobić, trzeba by rozpisnąć plan na dwie dekady i przeciwstawić wartości, jaką jest ochrona środowiska, inną – bezpieczeństwo surowcowe. Moim zdaniem opór będzie tu bardzo silny – ludzie nie chcą powrotu do XIX w. – choć

na pewno jest pole do pewnej racjonalizacji przepisów. Pamiętajmy też, że wielu pierwiastków po prostu w Europie nie ma albo są w niewystarczającej ilości. Zawsze będziemy musieli coś od kogoś importować. Ale prawdziwym wąskim gardłem jest tzw. midstream.

Czyli co?
Wszystkie procesy chemiczne i przemysłowe, które przekształcają rudę w produkt, czyli w coś, co można nazwać towarem i sprzedawać w postaci magnesów trwałych, baterii litowo-jonowych, turbin wiatrowych itd. Dotąd oddawaliśmy pole Chińczykom, którzy absolutnie zdominowali przetwórstwo. Pod tym względem jesteśmy od nich obecnie zależni, ale to można zmienić, a przynajmniej mamy takie ambicje. UE dosyć intensywnie promuje także obieg wtórny. Mamy bardzo dużo sprzętu nagromadzonego przez dziesięciolecia. Złomu i elektroniki. I będzie tego coraz więcej. Ten złom zawiera surowce, o które toczy się cały ten bój. Ostatnio widziałem wpis jednego z naukowców amerykańskich, że nawet w pyłe węglowym są mikroskopijne ilości metali ziem rzadkich.

Gdyby to było takie świetne rozwiązanie, to byłoby już wykorzystywane. Pewnie jest za drogo. Tak, to ważny argument. Chińczycy mocno subsydują swój przemysł przetwórczy, co powoduje, że ceny są po prostu zaniżane. Te niskie ceny tworzą bariery wejścia dla nowych graczy i oznaczają, że produkcja na Zachodzie staje się nieopłacalna. A pamiętajmy też, że mamy zdecydowanie wyższe koszty energii i bardziej restrykcyjne przepisy środowiskowe. Funkcjonuje błędne wyobrażenie o tym, jak działają rynki surowcowe – jeżeli popyt rośnie, to powinny rosnąć też ceny. Okazuje się, że ceny np. litu czy kobaltu wcale nie rosną dramatycznie mimo ogromnego zapotrzebowania, bo chińska nadpodaż utrzymuje je na relatywnie niskim poziomie. Dlatego w ostatnim czasie zaczęto rozmawiać o gwarantowanych cenach minimalnych dla poszczególnych surowców. Producenci mieliby gwarancję, że ktoś będzie od nich odkupował surowce po określonej, wyższej niż rynkowa cenie.

Tyle że to podniesie cenę produktów na rynku, przełoży się na presję inflacyjną i jeszcze większą drożyznę. Niewątpliwie istnieje takie ryzyko. Nie jesteśmy w stanie realizować wszystkich celów jednocześnie i gdzieś musimy odpuścić. Jeżeli priorytetem będzie bezpieczeństwo surowcowe, a w konsekwencji – narodowe, to być może będziemy musieli zapłacić więcej za elektronikę, której używamy na co dzień. Albo za samochody elektryczne.

Aby uzyskać dostęp do surowców, Chiny od dłuższego czasu wchodzą we współpracę z państwami afrykańskimi. Europejczycy nie mają tam już czego szukać? Afryka jest bardzo jasnym punktem na mapie surowcowej. Znajduje się tam ok. 30 proc. udokumentowanych rezerw różnych surowców. Od platynowców

w RPA przez lit w Zimbabwie po boksyty w Gwinei, o które się teraz toczy bój, bo to baza surowcowa dla produkcji aluminium. Mamy również metale ziem rzadkich w Nigerii, a przede wszystkim kobalt w Demokratycznej Republice Konga. Kobalt jest podstawą katod w bateriach litowo-jonowych. Jest o co walczyć. Wydaje mi się jednak, że mamy błędne wyobrażenie o tym, jaki jest tak naprawdę rozkład sił w Afryce. Chińczycy, owszem, od początku XXI w. bardzo mocno zwiększają tam swoją obecność, co widać w liczbach, ale nie są największym graczem.

Kto więc nim jest?
Państwa europejskie! Pod względem wielkości inwestycji w Afryce Chiny są na piątym czy szóstym miejscu. Choć oczywiście ich ekspansja jest odczuwalna, a jej tempo bardzo wysokie. W Kongu 15 na 18 kopalni kobaltu ma już chiński kapitał. Państwa afrykańskie zdają sobie sprawę ze stawki, o jaką toczy się gra. Nie chcą oddawać surowców za pół darmo, nie chcą, żeby międzynarodowe korporacje wywoziły je w postaci nieprzetworzonej – jak to się działo przez dekady od czasu dekolonizacji. Stawiają twarde warunki. W Kongu, w Tanzanii, która wprowadziła embargo na wywóz niektórych surowców, władze mówią: owszem, możecie wydobywać, ale pod warunkiem, że postawicie tu hutę czy rafinerię, i to tutaj będziemy zwiększać wartość dodaną w gospodarce.

Brzmi dobrze dla Afryki, ale inwestorzy przychodzą po to, żeby uzyskać coś taniej...
Tak, to jest trochę gra va banque, ale co innego mogą zrobić? Powiedzieć: „dobrze, jesteśmy zbyt słabi, wywoźcie to, co macie wywozić, i zostawcie nas w spokoju”? Afrykanie wiedzą, że świat się zabija o surowce, słyszą, że Stany Zjednoczone mają z nimi problem. Chiny muszą importować lit, kobalt i wiele innych.

Czyli Afryka po prostu zamierza dokonywać arbitrażu między potęgami gospodarczymi?
Tak, to jest dobre ujęcie problemu. To daje Afryce polityczną podmiotowość i odpina ją po części od zależności postkolonialnych. Mówiąc za przywódcą Ghany Kwame Nkrumahem, musisz mieć suwerenność, a cała reszta przyjdzie później. I faktycznie taki proces widać. W Afryce stawia się rafinerie, buduje infrastrukturę przetwórczą. Nawiasem mówiąc, zajmują się tym kontynentem od ponad 20 lat. Widziałem wiele i wydaje mi się, że teraz gwiazdy ułożyły się dla tego kontynentu korzystnie.

Niestety, wytwarzane tam bogactwo dotąd marnowano. Domyślnym ustrojem wielu państw Afryki jest wciąż kleptokracja. To 54 różne kraje, a w Polsce czasami mówi się o Afryce, jakby to był jakiś jednolity twór. Są państwa dobrze zarządzane, np. Rwanda, ale są też skorumpowane, jak Demokratyczna Republika Konga, która ma terytorium wielkie jak Europa Zachodnia, ale bez

WYWIAD

infrastruktury, i to jest wyzwanie nie do udźwignięcia pod względem zarządzania.

Porozmawiajmy o Polsce w kontekście tego światowego wyścigu geoeconomicznego. Da się nas uplasować bliżej najważniejszych korytarzy światowego handlu, inwestycji i przemysłu? A jeśli tak, to jak?

Po pierwsze, już teraz mamy się czym chwalić. W 2025 r. mieliśmy wzrost gospodarczy na poziomie 3,6 proc., czyli 2 pkt proc. więcej niż w całej Unii Europejskiej. Są tacy, którzy nazywają ostatnie 35 lat złotym wiekiem i zasadniczo bym się z tym zgodził. Nie oznacza to, że powinniśmy być bezkrytyczni. Kluczowe pytanie dotyczy kolejnego akordu w modelu rozwojowym Polski. Trzeba przelożyć wachnię z tego, co działało do tej pory, a działało m.in. to, że bardzo skutecznie importowaliśmy technologię z zagranicy.

Nisko wiszące owoce już zostały zerwane?

Wydaje mi się, że tak. Przyciągnęliśmy ogromne ilości kapitału i nic nie

wskazuje na to, że Polska przestaje być magnesem dla inwestorów zagranicznych. W rozmaitych rankingach i ankietach inwestorzy zainteresowani Polską wskazują, że nasz pracownik jest nieco tańszy niż zachodni, ale również wysoko wykwalifikowany. Poza tym dobra i coraz lepsza infrastruktura, świetne położenie geograficzne łączące Wschód z Zachodem, coraz bardziej też Północ z Południem. Mamy sporo atutów, które powodowały, że inwestycje napływały trochę z automatu, na autopilocie. Mamy teraz 1 bln dol. PKB, rynek jest coraz bardziej chłonny, ludzie coraz zamożniejsi – to dobre informacje dla inwestorów zagranicznych. Warto się zastanowić, jakie inwestycje należy promować i przyciągać bardziej aktywnie.

Jak to robić w praktyce? Gdy ktoś chce zainwestować w montownię, mamy mu powiedzieć, że już ich nie chcemy, a poprosimy o centra badań i rozwoju?

Absolutnie nie. Jeżeli ktoś chce wybudować w Polsce montownię, to zapraszamy. Natomiast istnieje też system wsparcia, czyli pewne zachęty finansowe, które rząd może stosować

selektywnie. Nie musimy dopłacać do wszelkich inwestycji zagranicznych. W Polsce miała powstać wielka fabryka Intela i choć plany wstrzymano, to dobry przykład. Inwestycja była warta 4,5 mld. dol., a polski rząd obiecał dołożyć 1,5 mld. dol. To 750 tys. dol. na jednego pracownika deklarowanego do zatrudnienia w Polsce. Góra pieniędzy, ale to właśnie taka inwestycja, o jakie nam chodzi. Jest innowacyjna, generuje rozmaite efekty zewnętrzne dla innych części gospodarki, zatrudnia inżynierów, którzy później mogą te kompetencje wykorzystać w innych sektorach.

Czy Polska na tym chaosie w gospodarce i w sytuacji międzynarodowej raczej korzysta, czy raczej traci? Jaki jest intuicyjny rachunek netto ostatnich lat?

Paradoksalnie nie widać, byśmy jakoś wyjątkowo silnie odczuwali negatywy obecnych zawirowań. Zaraz po inwazji rosyjskiej na Ukrainę pojawiło się podejrzenie, że wojna może się odbić na napływie inwestycji. Kto zechce inwestować w Polsce w warunkach niepewności, nie wiedząc, jak to się skończy? Okazało się, że inwestorzy wcale nie

uciekli. Owszem, na kilka tygodni nabrali wody w usta i przyglądali się sytuacji, ale później realizowali nowe projekty w Polsce – chociażby dlatego, że jesteśmy w NATO i w Unii Europejskiej. Pandemia też miała oznaczać potężny przestój, ale okazało się, że oznaczała potężne odbicie. Wiele projektów wstrzymanyh podczas pierwszego okresu zostało odpalonych, jeszcze zanim oficjalnie ogłosiliśmy zakończenie pandemii. Co więcej, COVID-19 spowodował reorganizację łańcuchów dostaw. Firmy, które wcześniej przeniosły się do Azji z częścią produkcji, relokowały się z powrotem do Europy, a sporo z nich, zamiast wracać na rynek macierzysty, ulokowało się w Polsce. Nasza gospodarka żyje i ma się dobrze.

Autor jest wiceprezesem Warsaw Enterprise Institute



Dominik

Kopiński

ekonomista, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego i badacz w Polskim Instytucie Ekonomicznym



Ciąg dalszy celnego chaosu

Artur Klimek

Szumnie ogłoszony przez prezydenta Donalda Trumpa „dzień wyzwolenia” został tydzień temu anulowany przez Sąd Najwyższy USA. Mimo że administracja od razu uruchomiła plan B, przewidujący nakładanie kolejnych ceł na cały świat, nie zmienia to tego, że jej flagowy projekt legł w gruzach.

Wprowadzenie taryf na podstawie ustawy o nadzwyczajnych uprawnieniach gospodarczych prezydenta z 1977 r. (International Emergency Economic Powers Act – IEEPA) było nie tylko elementem polityki handlowej, lecz także wyznacznikiem niekwestionowanej siły przywódcy Ameryki. Nastąpiło to przy milczeniu Kongresu, który dobrowolnie zrzekł się swoich konstytucyjnych kompetencji w zakresie nakładania podatków. Zresztą polityka handlowa to niejedyny obszar, w którym Trump rozszerzał kompetencje egzekutywy – podobnie było np. w rozgrzewce z Rezerwą Federalną.

Sąd Najwyższy nie rozważał ekonomicznej zasadności ceł – wypowiedział się na temat zakresu uprawnień prezydenta, orzekając, że nie są one nieograniczone. Wyrok ten przynajmniej częściowo przywraca trójpodział władzy. Przedsmakiem symbolicznego odzyskiwania inicjatywy przez Izbę Reprezentantów było już uchylene – tydzień przed decyzją SN – ceł nałożonych na Kanadę.

Administracja nie zamierza wycofywać się z dotychczasowego kursu – Trump od razu ogłosił wprowadzenie 10-procentowych stawek, powołując się na sekcję 122 ustawy o handlu z 1974 r. Zgodnie z prawem mogą one obowiązywać przez 150 dni. W tym czasie Biały Dom zamierza zbadać, w jaki sposób wprowadzić kolejne taryfy na podstawie innych przepisów. Jeszcze zanim nowe stawki weszły w życie, ogłoszono zwiększenie ich do 15 proc. Prawdopodobnie pojawią się głosy, że wszystkie te działania są przemyślaną strategią, ale trudno będzie w to uwierzyć.

Zapowiedzi uzyskania w tym roku jeszcze większych wpływów z ceł również nie brzmią przekonująco. Nawet jeśli przez kilka miesięcy miliardy dolarów będą płynąć do budżetu, zapewne będzie trzeba je zwrócić importerom – i to z odsetkami. Sekretarz skarbu Scott Bessent zakłada, że postępowania sądowe w tej sprawie mogą trwać lata. Skoro już wcześniej zapadły wyroki wskazujące na brak podstaw do powołania się na ustawę z 1977 r., administracja mogła podjąć działania wyprzedzające. Jednak byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do błędów.

Z punktu widzenia negocjacji handlowych jest to ważne rozstrzygnięcie. Unia Europejska musiała się natrudzić, by znaleźć wspólny głos w sprawie żądań USA. W tej chwili to amerykańska administracja musi włożyć wysiłek w podtrzymanie swojej pozycji. Jeszcze większy problem pojawia się w jej stosunkach z Chinami.

Na przełomie marca i kwietnia ma dojść do spotkania Donalda Trumpa i Xi Jinpinga. Chiński przywódca nie musi borykać się z sądami podważającymi jego decyzje.

Rozstrzygnięcie SN ma duże znaczenie dla amerykańskich finansów publicznych. Konieczność zwrotu szacowanego na ok. 170 mld dol. rodzi obawy o powiększenie deficytu budżetowego. Lista podmiotów, które zgłaszają się po pieniądze, ciągle się wydłuża i liczy już kilka tysięcy importerów. O zwrot będą mogły ubiegać się też firmy takie jak Amazon czy Apple, które są w bliskich relacjach z administracją. Szacuje się, że w 2025 r. sam Apple zapłacił taryfy w wysokości 3 mld dol. Po ogłoszeniu wyroku przez SN akcje spółek technologicznych i detalistów mocno zyskały na fali oczekiwań obniżenia kosztów importowanych produktów.

Biały Dom zapewniał, że po wprowadzeniu ceł amerykańska gospodarka będzie kwitnąć, a ceny pozostaną stabilne, bo cła będzie płacić „zagranica”.

Zapowiadano, że w ciągu kilku lat budżet zyska biliony dolarów, które pozwolą zrekompensować ubytek dochodów wynikających z cięć podatków, na których najwięcej zyskali najlepiej zarabiający Amerykanie i duże korporacje.

Jednak cła nie zadziały tak, jak oczekiwała administracja. Według analizy Rezerwy Federalnej ciężar taryf prawie w całości ponieśli amerykańskie firmy i konsumenci. Nie udało się zaprzeczyć podstawowej prawidłowości, zgodnie z którą cła są podatkiem płaconym w kraju importu. Na dodatek mają one charakter regresywny, czyli mocniej dotyczą osób uboższych.

Deficyt USA w handlu towarami wzrósł – wbrew obietnicom Trumpa – do rekordowego poziomu. Głównym powodem było zwiększenie importu na początku 2025 r., by zdążyć przed wprowadzeniem ceł. Rolnicy też nie mają się z czego cieszyć. Szef portu w Los Angeles, największego portu w USA, stwierdził, że ilość amerykańskiej soi wysłanej do Azji spadła w ubiegłym roku o 80 proc.

Chiny, które miały mocno ucierpieć, zanotowały rekordową nadwyżkę handlową. Co prawda ich eksport bezpośredni do USA zmalał, ale biorąc pod uwagę wzrost dostaw z Meksyku i Wietnamu, można założyć, że wiele komponentów w tych produktach pochodziło z Państwa Środka.

Obiecane miliony miejsc pracy w przemyśle nie powstały. Wręcz przeciwnie – w 2025 r. liczba osób zatrudnionych w amerykańskich fabrykach spadła o 88 tys. (za U.S. Bureau of Labor Statistics). Choć słyhać doniesienia o dużych inwestycjach, to często chodzi o projekty realizowane od wielu lat. W tym rachunku trzeba też uwzględnić anulowanie dużych nakładów na zielone technologie. Trzech największych w USA producentów samochodów spisało na straty dziesiątki miliardów dolarów zainwestowanych w produkcję pojazdów elektrycznych.

Rozgrzewka, której dalszy przebieg nie będzie już tak dużym zaskoczeniem, wraca do punktu wyjścia. Można się spodziewać kolejnych odsłon. Firmy muszą teraz wziąć w rachubę nowe obciążenia celne. W obawie przed kolejnymi podwyżkami zapewne będą akumulować importowane dobra. Jednocześnie trudno będzie im planować inwestycje. Partnerzy handlowi USA przygotowują nowe taktyki negocjacyjne. Adwersarze zacierają ręce.

Okazuje się, że ekonomiści głównego nurtu mieli sporo racji w ocenie potencjalnych skutków polityki handlowej Donalda Trumpa. Ale to prawnicy mogą na niej więcej zarobić, pomagając klientom nawigować w chaosie regulacyjnym. ©

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

Świat

Świat się zbroi

Na Europę przypadło w 2025 r. już 21 proc. globalnych wydatków wojskowych, niewiele mniej na Chiny i Rosję. Niedoścignionym liderem pozostają Stany Zjednoczone, nie tylko pod względem nakładów, lecz także ich efektów, czyli realnych zdolności militarnych

Witold

Sokała

W zeszłym roku wszystkie państwa świata wydały łącznie na cele związane z obronnością 2,63 bln dol. (w 2024 r. 2,48 bln dol.). Niemal bilion przypada na same Stany Zjednoczone. Tak wynika z najnowszej, już 67. edycji corocznego raportu „Military Balance” przygotowanego przez prestiżowy Międzynarodowy Instytut Studiów Strategicznych w Londynie (IISS).

Mowa o kwotach oficjalnych. W rzeczywistości wydatki zapewne są wyższe o kilka, kilkanaście procent, bo rządy autorytarne mają skłonność do ukrywania niektórych kosztów. Należy też jednak pamiętać, że z kolei w państwach demokratycznych z budżetów obronnych bywają finansowane zadania mające w gruncie rzeczy niewiele wspólnego z wojskiem i bezpieczeństwem narodowym, za to sporo z doraźnymi interesami politycznymi partii rządzących.

W ujęciu realnym oficjalnie podawane wydatki dla całego świata wzrosły rok do roku o 2,5 proc. – to wynik niższy niż w latach poprzednich (kiedy to osiągał nawet 7–8 proc.), ale wciąż wskazujący na determinację decydentów oraz generalne przekonanie, że wojna stała się znowu, jak w minionych wiekach, naturalnym sposobem „kontynuowania polityki innymi środkami”.

Wojna Rosji

„Niewiele wskazuje, by malała zdolność Rosji do kontynuowania wojny

z Ukrainą piąty rok z rzędu. A zagrożenie, jakie stanowi dla całej Europy, rośnie” – mówił Bastian Giegerich, szef IISS, podczas prezentacji raportu. Dokument raczej nieprzypadkowo opublikowano dokładnie w czwartą rocznicę rozpoczęcia pełnoskalowej inwazji rosyjskiej na Ukrainę, czyli rozpoczęcia największego konfliktu zbrojnego na Starym Kontynencie od czasów II wojny światowej, którego bezpośrednie i pośrednie skutki przeorały środowisko bezpieczeństwa w skali globalnej.

Giegerich i jego współpracownicy nawiązywali do tej tezy w wielu komentarzach, wskazując m.in. na „szybką ewolucję taktyk, technologii i cykli produkcji obronnej”, a także „niewielkie zyski terytorialne” Federacji Rosyjskiej okupione „znacznymi kosztami sprzętu i personelu” przy jednoczesnej zdolności Rosjan do szybkiego kopiowania i rozszerzania ukraińskich innowacji oraz wprowadzania własnych. Wedle raportu wzrost rosyjskich wydatków jednak spowolnił. W 2025 r. oficjalny budżet obronny Moskwy wynosił 13,5 bln rubli (161,2 mld dol.), a wliczając także pozycje z budżetów innych resortów, prawdopodobnie ok. 15,6 bln rubli (186,2 mld dol.). W ujęciu realnym wydatki te wzrosły rok do roku za ledwie o 3 proc. (rok wcześniej – aż o 56,9 proc.). Nadal stanowiły jednak ponad 7,3 proc. PKB, czyli ponad dwukrotnie więcej niż w 2021 r.

Wedle założeń tegorocznego budżetu wydatki wojskowe Federacji Rosyjskiej spadną; zdaniem IISS może to częściowo wynikać z działań ograniczających marnotrawstwo i nieefektywność – tradycyjną zmoję rosyjskich



sił zbrojnych. Ale, co bardziej prawdopodobne, jest to związane z potrzebami propagandowymi i z przenoszeniem coraz większej części ogólnych kosztów wojny do innych działów budżetu centralnego (np. opieki społecznej, a nawet edukacji) oraz ze zrzucaniem ich na władze regionalne.

Analiza IISS mimo to przyjmuje założenie, że postępujące osłabienie rosyjskiej gospodarki cywilnej, a także spodziewane dalsze ograniczanie dochodów z eksportu ropy i gazu przynajmniej w najbliższym czasie nie spowodują żadnych dramatycznych skutków dla stanu państwa i jego generalnego kursu politycznego. Ani Ukraińcy, ani europejskie państwa NATO nie mogą więc sobie pozwolić na komfort lekceważenia przeciwnika. Tym bardziej że – jak podkreślił dyrektor generalny IISS – Rosja nasiliła w ostatnim czasie ataki na strefę oddaloną o ok. 50–200 km od linii frontu, a jednocześnie rozbudowuje swoje zdolności do rażenia celów jeszcze bardziej odległych. Nie tylko rakietami, lecz także bezzałogowcami, np. typu Geran 2 (to zmodyfikowana wer-

sja irańskiego Shaheda 136). I to właśnie, zdaniem Giegericha, największe obecnie ryzyko militarne dla państw europejskich, które wymusza na nich przede wszystkim inwestycje w obronę przeciwraкетową i systemy przeciwdronowe, a także we własne zdolności do uderzeń na duże odległości.

Przebudzenie Europy

Trudno się w tej sytuacji dziwić, że wydatki europejskie w 2025 r. nadal rosły rekordowo, podobnie jak w latach minionych. Stary Kontynent (członkowie UE plus Wielka Brytania, Norwegia i Szwajcaria) przeznaczył na obronę prawie 563 mld dol., czyli prawie o 100 mld dol. więcej niż rok wcześniej. W ujęciu realnym oznacza to wzrost o 12,6 proc., czyli porównywalnie do wyniku z 2024 r.

Europejskie wydatki wojskowe to obecnie ponad 21 proc. globalnej całości w porównaniu z 17 proc. w 2022 r.



FOT. KAROLINA MISZTAL/REPORTER

IISS szacuje, że wzrost utrzyma się na co najmniej równie wysokim poziomie w 2026 r. Ocenia też, że mamy do czynienia ze stałym trendem strategicznym i długofalowym wysiłkiem większości rządów na rzecz wzmocnienia europejskich zdolności obronnych, a nie tylko krótkoterminową reakcją na zawirowania w niestabilnym środowisku bezpieczeństwa.

Dokument wskazuje na rolę Niemiec, których realne wydatki na obronę wzrosły o 18 proc. w 2025 r., osiągając poziom 107 mld dol. Nastąpiło to po 23-proc. wzroście rok wcześniej. Berlin odpowiada więc za jedną czwartą całego wzrostu wydatków na obronę w Europie w ciągu ostatnich dwóch lat. Kraje nordyckie i Polska również napędzały wzrost nakładów wojskowych (w 2025 r. Dania, Finlandia, Norwegia i Szwecja osiągnęły łączne 53,7 mld dol. wobec 34,2 mld dol. w 2024 r. i ponad dwukrotnie więcej niż w roku 2020, a nasz kraj 33,2 mld dol. wobec 28,7 mld dol. w roku poprzednim i 12,8 mld pięć lat wcześniej). Polska zajmuje obecnie 15.

miejsce w globalnym rankingu wydatków sporządzonym przez IISS.

Wzrosty odnotowano także w Wielkiej Brytanii (94,3 mld dol. w 2025 r. wobec 84,8 mld dol. rok wcześniej) i we Francji (odpowiednio 70 i 63,6 mld dol.) pomimo poważnych problemów budżetowych obu państw. Zajmują one nadal miejsca na podium wśród europejskich członków NATO. Dalej znajdują się Włochy (40,1 mld dol.), Polska, Holandia (29,1 mld dol.) i Hiszpania (28,9 mld dol.). Dla porównania: Turcja, utrzymująca przeciwieństwo siły zbrojne o relatywnie wysokich stanach i intensywnie modernizowane technologicznie, wydała w 2025 r. 21,5 mld dol., a Kanada 31,2 mld dol.

Jak wskazuje „Military Balance”, poszczególne państwa europejskie wykorzystują różne środki w celu wsparcia wzrostu wydatków na obronę, w tym szersze cięcia innych wydatków publicznych, poszerzanie definicji „obrony”, stosowanie pozabudżetowych mechanizmów uzupełniających i pobudzanie prywatnego finansowania obronności. Starają się – w więk-

Odbiór koreańskich czołgów K2 oraz haubic K9 w terminalu w Gdyni. 2022 r.

kości – wypełnić zobowiązanie wydatowania 3,5 proc. PKB na podstawową obronę plus 1,5 proc. na wydatki wspierające. I to pomimo zastrzeżeń przewijających się w wewnętrznych debatach, które wprost sformułował hiszpański premier Pedro Sánchez w liście do sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego, że to „łączne” 5 proc. jest „nieuzasadnione i ryzykowne”, biorąc pod uwagę wysoki poziom zadłużenia, związaną z tym presją inflacyjną oraz koszty utraconych możliwości inwestycji w innych sektorach.

Na takie dictum zwolennicy zbrojeń odpowiadają niekiedy: to w znacznym stopniu prawda, tyle że dzięki Putinowi i Trumpowi nie mamy inne-

go wyjścia. Kolejność nazwisk jest nieprzypadkowa. Europejskie wydatki na zbrojenia zaczęły bowiem wyraźnie rosnąć już w 2014 r., po rosyjskiej inwazji na Krym, a więc zanim amerykański prezydent zaczął traktować sojuszników jak pasażerów na gapę.

Przewagi Ameryki

Huw Williams, redaktor naczelny aktualnego wydania „Military Balance”, w komentarzu wprowadzającym do publikacji wskazał jednak, że to „polityka drugiej administracji prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa odegrała kluczową rolę w kształtowaniu globalnego krajobrazu obronności i bezpieczeństwa w roku 2025”. Wspomniał w tym kontekście o procesie wycofywania się z długoletnich zobowiązań obronnych USA, o domaganiu się przez Waszyngton bardziej zrównoważonego podziału obciążeń między sojusznikami – zarówno w Europie, jak i w regionie Azji i Pacyfiku – a także o potwierdzeniu amerykańskiej przewagi w zakresie najbardziej zaawansowanych technologicznie środków walki, m.in. podczas czerwcowej operacji „Midnight Hammer”, czyli wsparcia izraelskich ataków na irańską infrastrukturę wojskową i nuklearną przez amerykańskie bombowce strategiczne B-2A Spirit.

Williams odnotował też istnienie w wielu krajach tendencji do tworzenia „przystępnej cenowo masy bojowej” (można to uznać za dość eleganckie określenie tego, co w przypadku Rosji inni nazywają np. szturmami mięsnymi). Skonstatował, że zrównoważenie owych relatywnie niedrogich metod prowadzenia operacji militarnych z jednoczesną rozbudową nowatorskich i najbardziej skutecznych, ale niezwykle kosztownych zasobów opartych na zaawansowanej technologii jest dziś najpoważniejszym wyzwaniem dla planistów obronnych na całym świecie. Omawiając szczegółowo, przypomniał m.in., że na początku 2025 r. Boeing został wybrany na głównego wykonawcę załogowego elementu amerykańskiego programu Next Generation Air Dominance oznaczonego jako F-47. Również włosko-japońsko-brytyjski Global Combat Air Programme „osiągnął kilka kamieni milowych”, zaś francusko-niemiecko-hiszpański Future Combat Air System nadal boryka się z poważnymi problemami i „napięciami na poziomie przemysłowym”.

Stany Zjednoczone wydały w 2025 r. aż 921 mld dol., czyli niemal tyle, ile Europa, Chiny i Rosja razem wzięte. W dodatku w dość zgodnej ocenie specjalistów wydają te gigantyczne pieniądze w sposób bardzo efektywny, co wynika ze specyfiki amerykańskiego systemu, jego innowacyjności i wewnętrznej konkurencyjności, względnie niskiej podatności na patologie korupcyjne, profesjonalizmu kadr. Trudno wobec tego się dziwić, że – jak piszą autorzy raportu – „nadal utrzymuje się krytyczna zależność sojuszników od Stanów Zjednoczonych w zakresie zdolności, w tym w takich obszarach >

Z budżetów obronnych bywają finansowane zadania mające niewiele wspólnego z bezpieczeństwem narodowym, za to sporo z doraźnymi interesami partii rządzących

jak wywiad wielodomenowy, potencjał chmury obliczeniowej i zasoby kosmiczne”. Chociaż owi sojusznicy poczynili już znaczne inwestycje, np. w modernizację i rozwój sił pancernych, obrony powietrznej czy artylerii, wedle analizy IISS będą musieli zmniejszać zależność w zakresie choćby wywiadu czy wczesnego ostrzegania przed pociskami balistycznymi przynajmniej do lat 30. XXI w., i to niezależnie od poziomu inwestycji.

Ambicje Chin

Podczas prezentacji dokumentu ważnym kontekstem strategicznym była też rosnąca w różnych domenach potęga militarna Chin, napędzająca inwestycje obronne w regionie Azji i Pacyfiku. Tamtejsze nakłady osiągnęły łącznie 573 mld dol. (w ujęciu realnym wzrost o 5,7 proc., wobec 5,5 proc. w roku 2024). „Military Balance” podaje, że składają się na to przede wszystkim wydatki chińskie (251,3 mld dol.), a w dalszej kolejności indyjskie (78,3 mld dol.), japońskie (58,9 mld dol.), południowokoreańskie (43,8 mld dol.) i australijskie (37,3 mld dol.).

Williams odnotował przy okazji wrzesniową paradę wojskową w Pekinie, która po raz pierwszy potwierdziła istnienie w dyspozycji ChRL „triady nuklearnej” i zasygnalizowała, że wiele zaawansowanych systemów będących na wyposażeniu Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW) prezentuje obecnie „poziom co najmniej równy zachodniemu”. Zdaniem redaktora „Military Balance” to nie przypadek, że Chiny wysłały te sygnały polityczne i wojskowe akurat wtedy, gdy Xi Jinping stał na trybunie ramię w ramię z prezydentem Rosji Władimirem Putinem i przywódcą Korei Północnej Kim Dzong Unem.

W raporcie opisano „szeroko zakrojoną i asertywną projekcję siły militarnej Chin w regionie Indo-Pacyfiku” mającą zarówno cele bezpośrednie (wsparcie roszczeń terytorialnych), jak i pośrednie (zwiększenie globalnego znaczenia ChRL jako gracza potencjalnie zdolnego do militarnej konfrontacji z USA). Zauważono też, że wzrost chińskich wydatków na wojsko konsekwentnie przewyższa wzrost w pozostałych krajach Azji (w 2025 r. udział Chin w ogólnym regionalnym budżecie militarnym wzrósł do prawie 44 proc. w porównaniu ze średnią z lat 2010–2020 na poziomie 37 proc.). Dzieje się tak, choć państwa mające powody, by obawiać się agresji ze strony ChRL i/lub reżimu północnokoreańskiego, również zwiększają wydatki wojskowe, a także pomimo zauważalnego wzrostu napięć, np. pomiędzy Indiami a Pakistanem czy wokół Mjanmy, co przecież też skłania zainteresowane państwa do intensyfikacji zbrojeń.

W towarzyszących prezentacji raportu komentarzach pracownicy IISS zwracali uwagę na ewidentne, acz zapewne tymczasowe osłabienie zdolności militarnych ChRL wynikające z niedawnej czystki na szczytach struktur dowodzenia. Objęły one Centralną Komisję Wojskową partii komunistycznej (w chińskim systemie nadrzędną nad sztabem generalnym i resortem obrony), dowództwa teatrów działań, podmioty zajmujące się zakupem i rozwojem broni, a nawet środowisko akademickie zajmujące się obronnością.

Oficjalnie to personalne trzęsienie ziemi miało tło wyłącznie korupcyjne, ale zdaniem wielu specjalistów tak naprawdę chodziło o poważne różnice zdań co do perspektyw użycia sił zbrojnych przeciwko Tajwanowi i ewentualnej konfrontacji militarnej z USA, pomiędzy Xi a środowiskiem profesjonalistów. W ocenie analityków IISS to, czego byliśmy świadkami w ubiegłym roku, bynajmniej nie kończy procesu wewnętrznego dyscyplinowania ChALW przez przywódcę państwa i partii. Jeśli niebawem nastąpi ciąg dalszy, luki w strukturze dowodzenia będą się pogłębiać, spadnie także – pomimo równoczesnego postępu technicznego i stałej presji politycznej na modernizację – jakość i realna zdolność bojowa sił zbrojnych, gdy doświadczonych i w miarę niezależnie myślących profesjonalistów na większą skalę zastąpią ludzie „bierni, mierni, ale wierni”.

Zbrojenia globalnego Południa

W regionie obejmującym Bliski Wschód i Afrykę Północną (określanym często jako MENA od „Middle East and North Africa”) wydatki wojskowe objęte raportem za rok 2025 wzrosły realnie o 4,5 proc. (to najmniej od 2022 r., ale nadal więcej niż średnia za lata 2011–2021, wynosząca 2,3 proc.), zaś łączne budżety osiągnęły 219 mld dol. (raport zastrzega, że nie wlicza się tu zagranicznego finansowania wojskowego niektórych rządów, które pochodzi głównie ze strony USA, ale też Turcji czy Chin). Analitycy IISS konstatują, że ten względnie wysoki wzrost odzwierciedla niestabilność w regionie, związaną z dwuletnią wojną Izraela z Hamasem, okresowymi starciami między Iranem a Izraelem, a także operacjami wojskowymi USA z jednej strony i aktywnością Chin oraz Rosji we wspieraniu różnego rodzaju bojówek, milicji lokalnych i grup terrorystycznych z drugiej.

Na pierwszym miejscu listy państw MENA, wydających najwięcej na cele wojskowe, figuruje wciąż Arabia Saudyjska z budżetem na poziomie 72 mld dol., choć wyraźnie zbliżył się

do niej Izrael (niemal 40 mld dol.), który wraz z Algierią odpowiada za prawie 70 proc. wzrostu regionalnych wydatków w 2025 r. W relacji do PKB wydatki te także stale rosły, średnio do 4,3 proc. (wobec 3,5 proc. w 2022 r.).

Jeszcze wyraźniejszy wzrost, bo o 5,4 proc., i to pomimo cięć budżetowych w Brazylii i Kolumbii, odnotowała nadrabiająca spore spadki po okresie pandemii Ameryka Łacińska. Rekordzistą tempa wzrostu jest jednak Afryka Subsaharyjska. Jej wynik – aż 19 proc. – był najwyższy od ponad dekady. Całkowite wydatki na obronę wzrosły tu do 23,6 mld dol. Rządy zareagowały w ten sposób na pogarszającą się sytuację w regionie, w tym pełnoskalową wojnę w Sudanie, wydarzenia w Etiopii i Sudanie Południowym, a także na trwający konflikt we wschodniej części Demokratycznej Republiki Konga. Uwagę w tej części świata zwraca Nigeria, która nagle niemal podwoiła swój budżet obronny (z 1,07 mld dol. w 2024 r. do 2,04 mld dol. w 2025 r.), i to pomimo poważnego kryzysu ekonomicznego. Tymczasem tradycyjny lider regionu, pogrążona w jeszcze poważniejszych kłopotach gospodarczych Republika Południowej Afryki, jako jedno z niewielu państw świata odnotowała realny spadek wydatków – o 2,5 proc., do poziomu 3,15 mld dol. Zdaniem autorów raportu „potwierdza to długotrwałą stagnację w wydatkach obronnych kraju i pogłębia rozdźwięk między potencjałem wojskowym a ambicjami polityki zagranicznej”.

Jak widać, nawet globalne Południe, borykające się przecież z licznymi problemami społecznymi i ekonomicznymi, skłania się w obliczu narastania niebezpieczeństw ku wzrostowi wydatków wojskowych. Trudno się więc dziwić, że podobnie postępują bogate kraje rozwinięte, stające przed ryzykiem bezpośredniej lub pośredniej agresji ze strony Chin czy Rosji. Jednocześnie warto odnotować – co raport IISS akurat pomija – że polityka zwiększonych wydatków wojskowych w pewnym stopniu jest elementem presji wielkich producentów broni, korzystających marketingowo z psychologicznej koniunktury, a także kalkulacji politycznych niektórych państw (vide: Niemcy czy Japonia) dostrzegających w gwałtownej rozbudowie potencjału militarnego świetną okazję, by rekompensować sobie niepowodzenia na innych polach czy tworzyć nowe rynki zbytu dla swoich wytwórców. Niezależnie jednak od ukrytych przyczyn i intencji – w skali globalnej coraz więcej „strzelb wisi na ścianach”. I trudno zakładać, że wszystkie z nich pozostaną tylko teatralnymi rekwizytami. ©©



Witold

Sokała

wykładowca
Instytutu Stosunków
Międzynarodowych
Uniwersytetu Jana
Kochanowskiego
w Kielcach,
przewodniczący Rady
i analityk Fundacji
Po.Int, publicysta DGP

Jak nie wpaść do unijnego czyścica

Bruksela planuje zaproponować rządowi w Kijowie członkostwo light. Rodzi to obawy, że po wejściu do unijnego przedpokoju Ukraina pozostanie w nim na zawsze

Karolina

Wójcicka

Michał

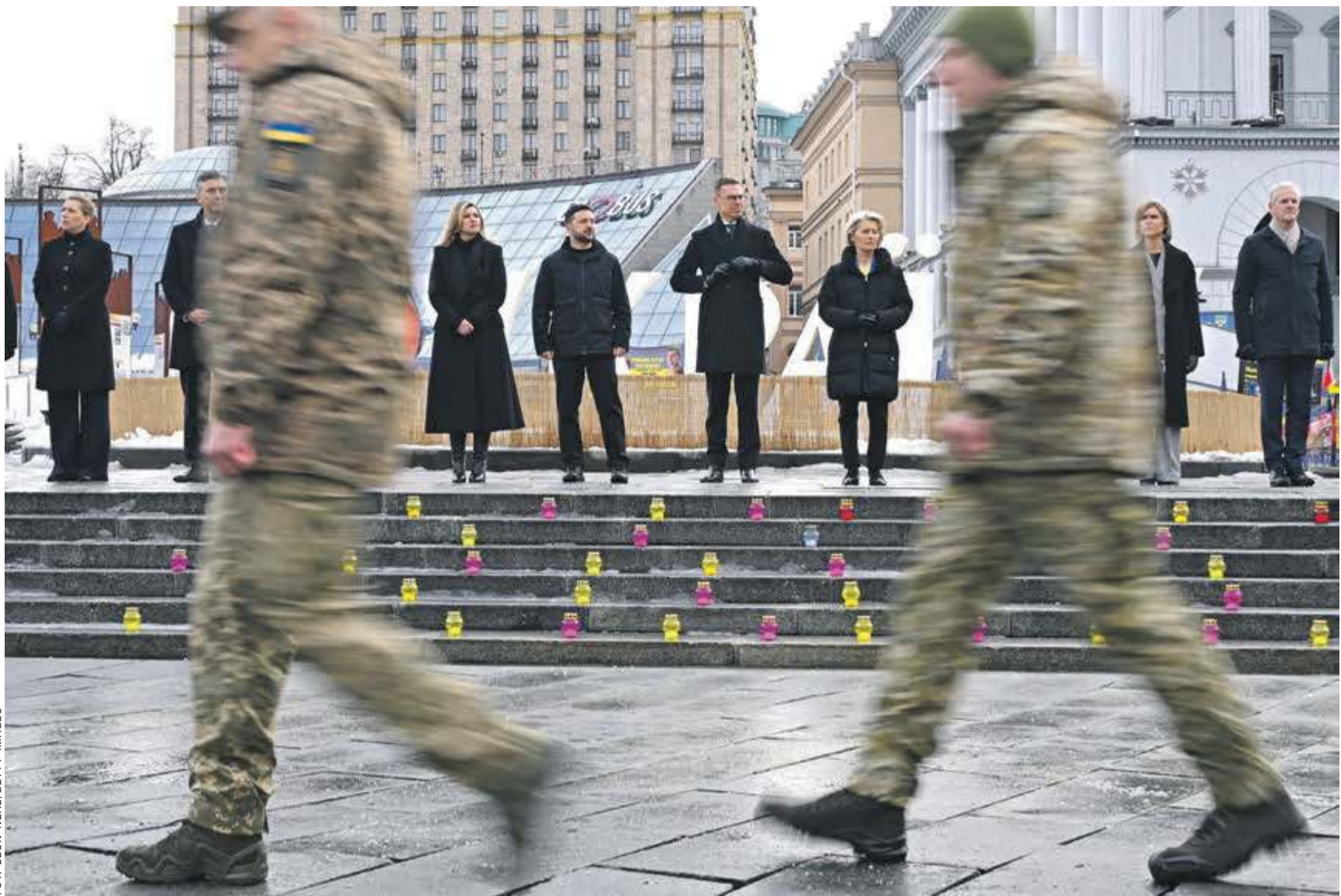
Potocki

– To prawda, że dążymy do przyspieszonej ścieżki członkostwa – powiedział prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski w czwartą rocznicę rosyjskiej inwazji na pełną skalę. Dodał, że chciałby, aby nastąpiło to w 2027 r.

Po raz pierwszy termin ten pojawił się w obiegu za sprawą Amerykanów, którzy wspólnie z Rosjanami opracowali 28-punktowy plan pokojowy. Jego kluczowe zapisy – skrojone pod rosyjskie żądania – były dla Kijowa nie do przyjęcia. Postawieni pod ścianą Europejczycy przygotowali więc wraz z Ukraincami 20-punktową kontrpropozycję, w której akcesję do UE przedstawiono jako gwarancję bezpieczeństwa. – W związku z tym, że członkostwo w NATO od dłuższego czasu pozostaje nierealistyczne, wejście Ukrainy do Unii miałyby politycznie zakotwiczyć ją w Europie i powstrzymać Rosję przed dalszymi próbami podporządkowania sobie tego kraju – mówi DGP Marta Prochwicz-Jazowska z European Council on Foreign Relations.

Inna kwestia, że według władz w Kijowie rok 2027 to jedyne realne okno czasowe. Premier Węgier Viktor Orbán nie zgodzi się na akcesję przed kwietniowymi wyborami parlamentarnymi

UKRAINA



FOT. LEON NEAL/GETTY IMAGES

mi, bo krytyka Ukraińców jest jednym z filarów jego kampanii. W Brukseli panuje przekonanie, że po ewentualnym zwycięstwie mógłby złagodzić stanowisko pod presją swojego sojusznika Donalda Trumpa. Z kolei w przypadku wygranej opozycji pod wodzą Pétera Magyara pojawiłaby się szansa na całkowitą zmianę kursu w polityce zagranicznej Budapesztu, a więc i zwrot w relacjach z Kijowem.

Niewykluczone, że to polityczne okno zamknie się po wyborach prezydenckich we Francji w kwietniu 2027 r. W sondażach prowadzi skrajnie prawicowe Zjednoczenie Narodowe, które może zablokować naszemu sąsiadowi drogę do Unii.

Aksesja na opak

Problem polega na tym, że nikt na razie nie sprecyzował, jak przyjmą Ukrainę do 2027 r., skoro formalnie – ze względu na weto Orbána – nie otwarto jeszcze żadnego rozdziału negocjacyjnego. Niektóre z nich mogą znacząco wydłużyć rokowania – jak choćby rolnictwo, w którym Ukraina ma duży potencjał, a wpływ agrarnego lobby w takich krajach jak Francja czy Polska jest silny.

Negocjacje wprawdzie się toczą, ale nieformalnie i na pół gwizdka. Rozmowy rozpoczęto w grudniu 2025 r. we Lwowie. Ukrainę powiadomiono wówczas o stanowisku negocjacyjnym Wspólnoty w sprawie trzech z sześciu klasterów. Aby podkreślić nieformalność procedury, kryteria akcesyjne przekazano rządowi w restauracji. Wę-

grzy de facto się zgodzili, bo nie zbojkotowali wyjazdowego spotkania Rady ds. Ogólnych w stolicy Galicji.

Mogło to nastąpić już pół roku wcześniej, ale postępy pokrzyżował skandal korupcyjny w resorcie energetyki, a zwłaszcza reakcja obozu Zełenskiego na śledztwo Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU). Władze, starając się stordedować postępowanie, przyjęły ustawy ograniczające niezależność NABU. Pod presją bezprecedensowych jak na czas wojny protestów ulicznych oraz Brukseli musiały się z tych zmian w większości wycofać. Skandal wyglądał na tyle źle, że ostudził entuzjazm zwolenników szybkiej ścieżki dla Ukrainy. W efekcie do frontloadingu – jak nazywano sposób na obejście węgierskiego weta – przystąpiono nie w pierwszych, lecz w ostatnich tygodniach sprawowania przez Danię przewodnictwa w Radzie.

Znikoma wiara

Treść przekazanych we Lwowie kryteriów oficjalnie nie została upubliczniona, ale 20 lutego ujawniła je „Jewropejska prawda”. Składa się na nie m.in. długa lista wymogów dotyczących reformy systemu sądownictwa, który na tle innych sektorów państwa pozostaje mocno zakorzeniony w ciemnych czasach sprzed rewolucji godności lat 2013–2014 i obalenia skorumpowanego reżimu Wiktora Janukowycza. A to dopiero część trzech łatwiejszych klasterów. O rolnictwie nie zaczęto rozma-

wiać nawet w ramach frontloadingu, choć pierwsze konsultacje polsko-ukraińskie, zmierzające do „zmapowania konkretnych obszarów wrażliwych”, już się odbywają.

– Mamy kalendarz, który ogłosiła Komisja Europejska: zakończenie rozmów w 2028 r., akcesja w 2030 r. Ale dokładne daty zależą i od nas, i od Unii Europejskiej. Może uda się szybciej. Podkreślam: jasna decyzja geopolityczna, że akcesja ma się odbyć jak najszybciej, w żaden sposób nie kasuje ani nie zmniejsza wymogów wobec nas. Ukraina będzie musiała zrobić wszystko, czego wymaga Unia – powiedział odpowiadający za rokowania akcesyjne wicepremier Taras Kaczka w rozmowie z „Jewropejską prawdą”.

W europejskich stolicach wiara, że nasz sąsiad w tak krótkim czasie przejdzie ścieżkę akcesyjną, jest znikoma. W notatce z posiedzenia zespołu roboczego ds. rozszerzenia UE w ministerstwie spraw zagranicznych, do której dotarł DGP, zapisano: „Akcesja Ukrainy w 2027 r. jest nierealistyczna, z czego nawet Ukraina zdaje sobie sprawę”. Podkreślono przy tym, że „Kijów oczekuje przedstawienia konkretnej daty akcesji lub zakończenia negocjacji z powodów politycznych”. Chodzi o to, że Wołodymyr Zełenski będzie w stanie zaakceptować pewne aspekty ewentualnego porozumienia pokojowego, takie jak oddanie części terytorium Rosji, tylko pod warunkiem, że będzie mógł przedstawić członkostwo w UE jako pozytywny rezultat.

Aby pogodzić różne interesy, w Brukseli pojawił się pomysł rady-

Uroczystości upamiętniające
czwartą rocznicę
pełnoskalowej wojny
w Ukrainie. Kijów,
24 lutego 2026 r.

kalnej reformy zasad rozszerzenia. Unijni urzędnicy wychodzą z założenia, że tradycyjny proces akcesyjny sprawdza się w czasach pokoju, a niestabilne środowisko geopolityczne wymusza nowe rozwiązania. W ten sposób powstała koncepcja „odwróconego rozszerzenia”. Zakłada ona, że najpierw dochodzi do formalnego przyjęcia nowego państwa, a dopiero potem stopniowe wprowadzanie pełni praw i obowiązków członkowskich. – Skoro akcesja ma pełnić funkcję gwarancji bezpieczeństwa i elementu porozumienia pokojowego, Unia musi być gotowa na wypracowanie formuły pozwalającej jej w relatywnym krótkim czasie po zawieszeniu broni włączyć Ukrainę do swoich struktur w sposób strawny dla nas wszystkich – mówi DGP przedstawiciel rządu. – Pełne członkostwo, z dostosowaniem wszystkich przepisów do 2027 r., byłoby nierealne – dodaje.

W okresie przejściowym Ukraina oficjalnie należałaby do UE, ale w praktyce nie uczestniczyłaby w wielu jej politykach. Musiało- ➤

by to zostać uzgodnione podczas negocjacji przedakcesyjnych. Chodzi m.in. o dostęp do jednolitego rynku, dopłat rolnych i funduszy strukturalnych. – Jeśli Ukraina uzyska dostęp do rynku bez pełnej harmonizacji w zakresie konkurencji i pomocy publicznej, może to stworzyć nierówne warunki i presję kosztową dla państw granicznych, w tym Polski – zauważa nasze źródło w rządzie. Z jego analizy wynika też, że skutkiem ubocznym wprowadzenia w życie strategii odwróconego rozszerzenia zapewne byłaby fragmentaryzacja Unii. – Tworzenie członkostwa warstwowego może zmniejszyć jednolitość rynku i zaostrzyć napięcia na linii centrum-peryferie – przekonuje.

Do tego dochodzi kwestia udziału w podejmowaniu decyzji na szczeblu unijnym. – Pod znakiem zapytania pozostaje m.in. prawo głosu. Czy od początku Ukraińcy będą mogli korzystać z prawa weta? Czy będą uczestniczyć w procesie reform traktatów? – wylicza Prochwicz-Jazowska.

Zarówno w Kijowie, jak i w Warszawie pojawiają się obawy, że po wejściu do przedpokojów Ukraina może w nim pozostać na zawsze – zgodnie z zasadą, że prowizorki bywają najtrwalsze. – Wszyscy pamiętamy, że Cypr miał się zjednoczyć po wejściu do Unii. Nic takiego się nie wydarzyło, mamy stan zawieszenia – mówi osoba z rządu, uczestnicząca w rozmowach o rozszerzeniu. Zwraca też uwagę, że w Polsce mogą się pogłębiać antyukraińskie nastroje. – Można sobie wyobrazić, że w takiej sytuacji większość polityków zacznie mówić wprost: skoro Ukraina jest w UE tylko w ograniczonym zakresie, to niech tak zostanie – dodaje.

Lepsze nic niż erzac

Oficjalnie Kijów nie jest zainteresowany żadnym wariantem członkostwa drugiej kategorii. Wprost wyraził to Ihor Żowkwa, wiceszef biura prezydenta Zełenskiego. – Nie potrzebujemy członkostwa erzac. Kiedy słyszymy o członkostwie light, mówimy: „na pewno nie”. Kiedyś w podobny sposób proponowali nam namiastkę statusu kandydata. Przypomnę, co wtedy powiedział prezydent: lepsze nic niż erzac. Tak samo w tej sytuacji – żadnego półczłonkostwa nie będzie – podkreślał w rozmowie z gazetą „RBK-Ukrajina”.

Ba, Żowkwa jest wręcz przekonany, że Ukraina otrzyma szybką ścieżkę, bo na nią zasługuje. – Analogie wskazujące, że inne kraje wstępowały po 10, 15, 20 latach, nie działają. Akcesja Ukrainy nastąpi w zupełnie innych warunkach geopolitycznych. Żaden kraj nie kroczył do członkostwa w UE, broniąc się jednocześnie przed tak potężną agresją, jak ta rosyjska – dowodził. Ukraińcy uważają, że zasady formalnego przystąpienia do Wspólnoty będą podobne jak w przypadku zaproszenia do członkostwa, które zostało wystosowane tuż po 24 lutym 2022 r. Stało się to przy udziale prezydenta Andrzeja Dudy, który wspólnie ze swoją słowacką odpowiedniczką Zuzaną Čaputovou przypuścił

dypłomatyczny szturm na europejskie stolice. Jak mówił DGP człowiek z otoczenia Dudy, traktowano to także jako element podnoszenia morale zaatakowanego kraju.

Znający szczegóły rokowań rozmówca z Kijowa stawia sprawę łagodniej niż Żowkwa. – Odpowiadająca za rozszerzenie komisarz Marta Kos przyznała, że Ukraina nie może być traktowana jak inni, bo sytuacja jest wyjątkowa. Podejście do członkostwa light zależy od szczegółów – słyszymy. – Gdyby był to wytrych na zawsze wpychający nas do przedakcesyjnego czyścica, to zgody nie będzie. Inna sprawa, gdyby Ukrainę przyjęto eksternistycznie z zamrożoną częścią praw, które w miarę postępów w spełnianiu warunków członkostwa byłyby decyzją Komisji Europejskiej rozmrażane. Czas też ma znaczenie. Jeśli nie uda nam się nic osiągnąć do 2027 r., a wybory we Francji wygrają narodowcy, to proces zostanie co najmniej mocno utrudniony – przekonuje nasz rozmówca.

Gest polityczny

Na razie pewne jest tylko to, że złota zasada, zgodnie z którą żaden kraj nie przystąpi do Wspólnoty, dopóki nie dostosuje się w pełni do prawa unijnego i standardów demokratycznych, powoli traci znaczenie. Kolejne rozszerzenia – podkreśla Prochwicz-Jazowska – będą miały zupełnie inny charakter. Podejście UE do Ukrainy to przede wszystkim „polityczny gest wobec kraju walczącego w naszym imieniu”.

Nasz wschodni sąsiad nie byłby jedynym państwem objętym nowym systemem akcesyjnym. W kolejce do członkostwa stoi obecnie aż dziewięć państw. W przypadku państw rządzonych przez niedemokratycznych przywódców, takich jak Gruzja czy Turcja, szanse na szybkie zbliżenie z UE są praktycznie zerowe. Inni kandydaci mogą liczyć na przyspieszenie procesu. Niewykluczone, że w tym samym czasie co Ukraina przyjęte zostaną Albania i Czarnogóra.

W związku z geopolitycznymi zawirowaniami oraz cłami i groźbami Donalda Trumpa przystąpienie do Wspólnoty znowu poważnie rozważa Islandia. Gdy Billy Long, kandydat Białego Domu na ambasadora w Reykjavíku, zażartował, że może ona zostać 52. stanem USA, a on sam jego gubernatorem, na wyspie nastąpił wzrost pronijnych sympatii. – Islandia przeprowadzi referendum w sprawie rozpoczęcia rozmów akcesyjnych w ciągu najbliższych kilku miesięcy – powiedziała w czwartek na konferencji prasowej w Warszawie premier Kristrún Frostadóttir. Negocjacje zostały zawieszone w 2013 r.

Według komisarz UE ds. rozszerzenia Marty Kos podejście do rozszerzenia ulega zmianie na całym kontynencie. – Coraz bardziej chodzi o bezpieczeństwo, poczucie przynależności i o utrzymanie zdolności do działania w świecie rywalizujących stref wpływów. To dotyczy wszystkich Europejczyków – zapewniała w rozmowie z Politico. ©

Kraj

Integracja bez ideologii

PiS wchodzi w buty Konfederacji i Brauna, coraz wyraźniej sygnalizując, że Unia to nie oni i że trzeba z tego projektu wyjść

Z Borysem

Budką

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Po którym pytaniu o SAFE nazwie mnie pan zakutym łbem?

Liczę na to, że nasza rozmowa tak się nie potoczy. (śmiech) Ale rozumiem, do czego pan pije. Rzeczy należy nazywać po imieniu, a „zakute łby” to najłżejsze określenie, jakiego można było użyć wobec tych, którzy sprzeciwiają się dozbrajaniu polskiej armii – i to za tanie europejskie pieniądze. I tak gryziemy się w język. Pamięta pan, jak cała maszyna propagandowa za rządów Prawa i Sprawiedliwości nazywała nas Targowicą, agentami etc. W porównaniu z tym „zakute łby” to niemal pieszczota.

Nauczyliście się w tym względzie sporo od PiS. Kto zgłasza wątpliwości, ten zdrajca, względnie pozyteczny idiota Rosji. A przecież pytań nie brakuje.

Tak, ale czym innym są konkretne pytania – np. o to, z której części będziemy spłacać ten nisko oprocentowany kredyt (stąd poprawka w Senacie) – a czym innym to, co opowiadają Mariusz Błaszczak, Jarosław Kaczyński czy Mateusz Morawiecki. Wspinają się na Himalaje absurdu tekstami o niemieckim bucie nad Polską i łańcuchu przywiązany w Berlinie. Po czymś takim naprawdę trzeba

mówić o zakutych łbach i przejeżdżać pałką po kracie. Inaczej nie rozumieją.

Jak wyglądało przygotowanie programu SAFE? Nie spadł on z nieba miesiąc temu.

A skąd! O szczegółach, sposobie kredytowania i wydatkowania dyskutujemy od ponad półtora roku. PiS też ma swoich przedstawicieli w Parlamencie Europejskim, nie chcę nikogo palić, ale pamiętam spokojne rozmowy, w których Michał Dworczyk i inni pozytywnie wypowiadali się o SAFE. Zresztą zostały równie pozytywne wpisy Błaszczaka. Trudno mi zrozumieć ich woltę, bo każdy, kto chciałby sięgnąć do dokumentów, bez problemu zauważy, że to korzystny dla Polski program. Nie tylko finansowo, lecz także politycznie – w zasadzie przekonaliśmy naszych partnerów w Komisji Europejskiej, żeby to był program przeznaczony dla Polski i krajów bałtyckich. Nie ma tu drugiego dna czy pułapki. W PiS zdecydowali się na sprzeciw wyłącznie w panice związanej ze spadającymi notowaniami i rosnącymi na prawo od nich partiami.

Jest też kwestia warunkowości. Pojawiły się obawy, że Bruksela może wpłynąć na wybory, wypłacając albo grożąc wstrzymaniem pieniędzy z SAFE.

Bzdury. Bezpieczniki w SAFE mają zapobiegać rozgrabieniu pieniędzy. To pokłosie przypadku Węgier,

WYWIAD

gdzie fundusze europejskie przez lata trafiały do kolegów Orbána i budowały ich olbrzymie majątki. Jeżeli w Polsce pieniądze będą dobrze wydawane, to niezależnie od tego, kto będzie rządził, nie ma niebezpieczeństwa wstrzymania przelewów.

Z Krajowym Planem Odbudowy też tak miało być, a jednak przelewy ruszyły dopiero wtedy, gdy PiS oddał władzę. I to bez reformy sądownictwa.

Pozornie może to tak wyglądać, ale prawda jest prostsza: jeżeli w danym kraju przestrzega się prawa – w tym unijnego – to nie ma problemów z funduszami europejskimi. Dziś najgłośniej krzyczą ci, których obciążają takie kradzieże publicznych pieniędzy. PiS odpowiada za aferę Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych czy przekręty w Funduszu Sprawiedliwości. Gdy cała Europa widzi uciekającego do Budapesztu byłego ministra sprawiedliwości i zaufanego człowieka premiera Morawieckiego, czekającego w Londynie na ekstradycję, trudno nie zapisać w prawie mechanizmów, które by przeciwdziałały ewentualnym kradzieżom. Czasem mam wrażenie, że poruszamy się jak w tym powiedzeniu, że złodziej krzyczy: „łapać złodzieja”.

Pozostaje jeszcze kwestia opłacalności pożyczki z SAFE. Prezes PiS mówi: najwyżej zapłacimy trochę więcej, ale suwerenność nie ma ceny.

Po pierwsze, widać, że Jarosław Kaczyński nie ma zielonego pojęcia o ekonomii i rynkach finansowych. Po drugie, to za jego czasów zaciągaliśmy olbrzymie kredyty w Azji na dużo gorszych warunkach. Nikt w PiS nie mówił wtedy o utracie suwerenności. Po trzecie, jesteśmy członkiem Unii Europejskiej. Gdybyśmy pożyczali jak za Kaczyńskiego w Korei, to ewentualnie można by mówić, że oddajemy część suwerenności. Przecież UE to my! I to jest moim zdaniem największy problem: nie chodzi o żadne warunki kredytu czy warunkowość, ale o to, że PiS konsekwentnie wchodzi w buty Konfederacji i Brauna, coraz wyraźniej sygnalizując, że Unia to nie oni, że trzeba z tego projektu wyjść. Na chłodno: pożyczamy te pieniądze na własnych rynkach, na własnych zasadach, tyle że taniej.

Sami dbacie o to, by temperatura dyskusji o SAFE była wysoka. Projekty finansowane z tych pieniędzy utknęły w kancelarii tajnej Sejmu, w której mogą na nie zerknąć posłowie z komisji obrony. Dlaczego ich nie upublicznic?

Nie widzę przeciwwskazań. Mam nadzieję, że to, co można z punktu widzenia bezpieczeństwa upublicznic, wkrótce będzie w pełni jawne. Słyszał pan pewnie, jak ostatnio ważna posłanka PiS powiedziała, że przyjęcie SAFE to będzie „afrofront wobec Amerykanów”. To, że pieniądze mają zasilić europejskie, w tym polskie, firmy, staje się więc poważnym zarzutem w ustach polityków prawicy.

Nie wiem, jak u pana, ale u mnie na podwórku na Śląsku mówiło się, że to argumenty z d... PiS i Kancelaria Prezydenta zachowują się, jakbyśmy byli wysuniętą placówką USA, 51. stanem. Pamięta pan taśmy Radka Sikorskiego, gdy padły tam pewne niekonwencjonalne słowa o relacjach z Amerykanami?

O „murzyńskości” i „robieniu łaski”. Klasyk.

Dokładnie. Żeby opisać to, co dziś robi PiS, musiałbym używać dużo gorszych porównań i słów, których nie pozwoliliby wydrukować w poważnej gazecie. Prezydencki doradca jedzie do USA i skarży się tam na polski rząd, twierdząc, że SAFE jest antyamerykański. Gdyby prezydent Karol Nawrocki miał choć trochę kręgosłupa moralnego, to z hukiem wyrzuciłby swojego ministra po takiej akcji.

U was było bicie na alarm w Brukseli. „Ulica i zagranica”, pamięta pan?

PiS dzisiaj wchodzi w tę opowieść o „ulicy i zagranicy”. Lada moment Mularczyk zrobi w Parlamencie Europejskim wystawę o prześladowanym Ziobrze i będzie szukać ochrony w trybunale w Strasburgu. A jeszcze do niedawna mówili, że europejskie sądy to nie sądy i nie uznawali ich wyroków. Pewnie nie wszyscy pamiętają, ale to bicie na alarm w Brukseli rozpoczął PiS, gdy krzyczał o rzekomych prześladowaniach wobec fundacji ojca Rydzyka.

Argument dotyczący ograniczenia zakupów z SAFE do rynku europejskiego jest jednak ważny.

Jako Polska kontynuujemy zakupy w USA, nikt nie zrywa kontraktów, nikt nie mówi, że nie będziemy podpisywać kolejnych. Polityka MON pod kierownictwem Władysława Kosiniaka-Kamysza jest tutaj jasna. Ale my dbamy przy tym o polski przemysł. PiS, kupując F-35, zadbał tylko o amerykańską gospodarkę. Kontrakty były bez transferów technologii, umowy podpisane na kolanie, bez elementarnej troski o offset. Amerykanie byli i są naszym strategicznym partnerem, ale jest różnica między partnerem a wasalem.

SAFE to trzeci – po KPO i pożyczce dla Ukrainy – wspólnie zaciągany dług, Ursula von der Leyen coraz częściej mówi o konieczności zniesienia jednomyślności. Nie wrzucono zbyt szybko piątego biegu, jeśli chodzi o integrację?

Jeżeli mówimy o nowym porządku świata, który wykuwa się na naszych oczach, to UE jako całość musi być silniejsza. Zachowując suwerenność krajów członkowskich, musimy zbudować więcej wspólnotowości. Z prostej przyczyny – nawet najsilniejsze Niemcy, Francja i Włochy nie są w stanie rywalizować z Indiami, USA i Chinami. Dlatego potrzebna jest dalsza integracja, ale bez ideologizacji i spraw światopoglądowych.



FOT. WOJTEK GORSKI

Borys Budka – poseł do Parlamentu Europejskiego, radca prawny, doktor nauk ekonomicznych. W latach 2020–2021 szef Platformy Obywatelskiej. Były szef resortów aktywów państwowych i sprawiedliwości

Jak miałyby to wyglądać w praktyce?

Weźmy pod lupę rynek energetyczny. Żeby realnie obniżyć ceny energii, musimy stworzyć wspólny unijny rynek energetyczny. To pomoże też przeciwdziałać blackoutom i organizować transfery energii, by zbudować jeden system od zielonych krajów Skandynawii czy południa Europy po atomową Francję i Polskę, które są w trakcie transformacji energetycznej. Domyślam się, że nie brzmi to na pierwszy rzut oka atrakcyjnie, ale to są konkretne kwestie, które ułatwiają życie – tak jak kiedyś sprawa wysokich rachunków telefonicznych. Przez lata wydawało się, że nie da się z tym nic zrobić, aż nagle roaming został zniesiony i nie płacimy już gigantycznych kwot za telefon z Paryża czy Amsterdamu. Musimy wchodzić z integracją w kwestie gospodarcze, bo inaczej nie będziemy w stanie skutecznie konkurować.

Prawica mówiła to od lat. Nie do końca. Dzisiaj największym problemem jest to, że populisci – zwłaszcza ci pravicowi – uznają za remedium na spadającą konkurencyjność Europy odseparowanie się od innych krajów. Jeżeli ktoś się cieszy, że niemiecki automotiv ledwo dyszy, to jest ślepy albo głupi. To jest system naczyń połączonych.

Nawet Europejska Partia Ludowa musiała ostatnio pójść po głosy prawicy, żeby skorygować kurs w jednej czy drugiej sprawie, bo socjaliści i liberałowie... ...nie rozumieją tych obaw. Trzeba czasem powiedzieć sobie to wprost. I na tym tle polska delegacja w EPP wyrasta na lidera w podejściu do europejskiego przemysłu. Pisanie polityki przemysłowej zza bruk-selskich biurków może doprowadzić do katastrofy. W poprzedniej

kadencji Parlamentu Europejskiego popełniono wiele błędów, ale my działamy z jasnym sygnałem: trzeba skorygować pewne decyzje, nie można trwać w błędzie. Głosowaliśmy przeciw nowym celom klimatycznym, oczekujemy rewizji systemu ETS i wstrzymania ETS2. Nie można metodą kija i dociskania fiskalnego forsować rozwiązań, których obywatele nie chcą albo nie rozumieją. Efekt będzie taki, że w wielu krajach władze przejmą antyeuropejskie ruchy.

Gdyby nie ostatnie zdanie, pomyślałbym, że rozmawiam z europosem Konfederacji albo PiS.

Bez przesady, po tamtej stronie jest skrajna sytuacja. Oni prawie w komplecie zaprzeczają zmianom klimatycznym, bo na Suwalszczyźnie spadł śnieg. To mentalni płaskoziemcy.

Czy jako prawnik i były minister sprawiedliwości nie ma pan wrażenia, że w sporze o sądy doszliśmy do ściany?

Z zażenowaniem obserwuję to, co robi Pałac Prezydencki. To pogłębianie tego sporu. Najgorsze, że nie widać tam partnerów do rozmowy. Jarosław Kaczyński świadomie rozsądził system, by zaprowadzić anarchię, jaką dziś mamy. Od początku to było tak zaprojektowane, a na koniec nielegalnie betonowane zmianami w prokuraturze. Powiedzieć, że było to naruszenie konstytucji, to nic nie powiedzieć. Tylko nie miał kto tego orzec, bo Trybunał Konstytucyjny był upartyjny. I koło się zamyka.

Bo ani jedna, ani druga strona nie osiągnie takiej przewagi politycznej, by zreformować system. Minister Żurek od początku deklarował chęć wyjaśnienia prezydentowi swoich pomysłów, dogadania się. I nic. Potrzebujemy głębokich zmian w systemie, bo chaos będzie się pogłębiał. Natomiast na horyzoncie nie widzę na dziś możliwości politycznego kompromisu.

Tym bardziej że sami jedziecie po bandzie – jak z odwołaniem z funkcji kierownika sekcji sędziowej, który uchylił europejski nakaz aresztowania wobec Marcina Romanowskiego. Wszystko odbyło się zgodnie z procedurą, nikt go ręcznie nie wyrzucił.

Zawsze są jakieś podkładki prawne.

Orzekł to sąd. A jeśli pyta pan o moje zdanie, to wspomniany sędzia od ENA powinien zmienić miejsce pracy i wystartować w wyborach parlamentarnych. Z listy PiS. Pisać w uzasadnieniu o „kryptodyktaturze”?

Gdyby to działało się w drugiej stronie, to rwałby pan szaty. Wniosek o wyłączenie tego sędziego rozpatrzył niezależny sąd. To zamyka sprawę. ©

Inteligentne i niebezpieczne. Samochody

Przechodząca przez branżę motoryzacyjną rewolucja związana z upowszechnieniem inteligentnych samochodów wciąż pozostaje niezauważona przez Unię Europejską. Za rogiem czai się zaś kolejny przełom – pojazdy autonomiczne

Piotr

Wójcik

Sztab Generalny Wojska Polskiego zdecydował, że samochody wyprodukowane w Chinach nie mogą zbliżyć się do polskich instalacji i placówek wojskowych. Wojskowi otrzymali też zakaz podłączania swoich smartfonów do komputerów pokładowych aut rodem z ChRL. Samochody z Państwa Środka są pełne zaawansowanej elektroniki, która zasadniczo powinna ułatwiać kierowcy prowadzenie pojazdu, ale może posłużyć także do szpiegowania i zbierania informacji wrażliwych. Choć jeszcze niedawno skala problemu sprzyjała jego bagatelizowaniu, w 2025 r. już nawet co dziesiąty nowy pojazd sprzedany w Polsce był produkcji chińskiej.

Wojsko wprowadziło również ograniczenia dla samochodów wyposażonych w zaawansowaną elektronikę produkcji innej niż chińska. Pojazdy te będą mogły wjeżdżać na teren jednostek i tam parkować, ale wcześniej ich właściciel powinien wyłączyć systemy zbierające dane z otoczenia. W ten sposób Sztab Generalny dał do zrozumienia, że problemem jest nie tyle rodowód nowoczesnych pojazdów, ile zainstalowane w nich oprogramowanie.

Coraz bardziej inteligentne?

Elektronika w pojazdach osobowych jest znana od lat. Najpowszechniejszym systemem wykorzystywanym w samochodach jest ABS (Anti-Lock Braking System), czyli układ, którego główną funkcją jest zapobieganie blokowaniu kół podczas hamowania. Kolejnym doskonale znanym systemem jest EPS (Electric Power Steering) – elektryczne wspomaganie kierownicy. Kierowcy już nie wyobrażają sobie jazdy bez tych dwóch systemów, chociaż jeszcze niedawno musieli się do nich przyzwyczajać – szczególnie do pulsacyjnego hamowania z ABS.

Nowe systemy elektroniczne są znacznie bardziej zaawansowane. Komputery pokładowe stopniem złożoności i swoimi możliwościami zaczynają przypominać smartfony, stając się samochodową konsolą służącą nie tylko do asysty przy sterowaniu czy parkowaniu i do hamowania w nagłych wypadkach, lecz także do rozrywki, czerpania informacji, połączeń głosowych i innych rodzajów komunikacji.

Weźmy asystenta pasa ruchu. Monitoruje on oznakowanie jezdni, ostrzegając kierowcę przed niezamierzonym zjechaniem na inny pas lub automatycznie utrzymując tor jazdy na dotychczasowym pasie. To użyteczne rozwiązanie ma swoje słabości. Najczęstszą przyczyną błędów są niewyraźne linie, które sprawiają, że system może nie zadziałać. Jeśli kierowca się rozluźni, przekonany o tym, że asystent czuwa, może nieświadomie wjechać pod koła wyprzedzającego go pojazdu.

Rozleniwienie kierowców to jedno z większych możliwych problemów związanych z upowszechnieniem się inteligentnych rozwiązań we współczesnych pojazdach osobowych i transportowych. Innego rodzaju ryzyko wiąże się z systemem AEB (Autonomous Emergency Braking), który dzięki kamerom, radarom i czujnikom zapobiega uderzeniom w nagle pojawiający się obiekt. System nie odbiera całkowicie wolnej woli kierowcy. Zwykle najpierw ostrzega sygnałem dźwiękowym lub wykonuje delikatne hamowanie. Całkowite zatrzymanie pojazdu zdarza się w zupełnie nagłych wypadkach lub w wyniku braku reakcji ze strony kierowcy. Z AEB wiąże się jednak niebezpieczne zjawisko nazywane „hamowaniem fantomowym”. Pojawia się ono wówczas, gdy system źle zinterpretuje sytuację na drodze – dostrzeże nieistniejący obiekt (np. z powodu rzucanych na drogę cieni) lub nie odczyta zamiarów kierowcy, który już przygotowuje się do wyminięcia lub wyprzedzenia. W takiej sytuacji należy po prostu lekko dodać gazu, jednak nie każdy kierowca zachowa klarowność myśli i racjonalność działań.

W zeszłym roku we Francji wszczęto dochodzenie w związku z serią przypadków hamowania fantomowego na au-

tostradach. Do najniebezpieczniejszego incydentu doszło na autostradzie w pobliżu Lyonu, gdy niewielki pojazd osobowy bez powodu w kilka sekund wyhamował z ponad 100 km/h do zera. Jadący za nim samochód wjechał z całą prędkością w tył zatrzymanego pojazdu, obracając go o 180 stopni. Pomimo znacznych zniszczeń auta prowadzącej kobiecie nic poważnego się nie stało. Żaden z ubezpieczycieli obojga kierowców nie chciał natomiast wziąć na siebie odpowiedzialności, zrzucając winę na producenta samochodu, którego system zachował się wadliwie.

Zarówno asystent pasa ruchu, jak i AEB są zwykle elementami szerszego systemu ADAS (Advanced Driver Assistance Systems), czyli zaawansowanego asystenta kierowcy. W najnowszych samochodach w jego skład wchodzi również aktywny tempomat, którego zadaniem jest utrzymywanie bezpiecznej odległości od poprzedzającego pojazdu przez dostosowywanie prędkości. Dzięki systemowi monitorowania martwego pola dowiemy się o zbliżających się pojazdach, których nie da się dostrzec w lusterkach. W skład ADAS często wchodzi również program rozpoznający znaki drogowe, a także asystent parkowania, który nie ogranicza się już tylko do czujników i sygnałów dźwiękowych – dysponuje także kamerą 360 stopni, a w najbardziej zaawansowanych pojazdach może nawet sam zaparkować, przejmując kontrolę nad kierownicą. Każdy z tych systemów potrafi być niezwykle użyteczny. Każdy może się też zachować wadliwie, szczególnie gdy czujniki są zabrudzone w związku z warunkami pogodowymi. Co więcej, wyposażenie kierowców w asystentów niemal każdej czynności, którą podejmuje się na drodze, w dłuższej perspektywie może obniżyć ich umiejętności i uwagę.

Cyberpunk już tu jest

Najnowsze smart auta są nieustannie podpięte do internetu przez sieć GSM, podobnie jak smartfony, i tak jak one pobierają z otoczenia bardzo dużo danych. Nie wspomniano tu jeszcze przecież o systemie naprowadzania geolokalizacyjnego GPS, który jest już standardem w nowoczesnych pojazdach wyposażonych w komputer pokładowy. Dane te przesyłane są następnie na serwery producentów samochodów i dostawców oprogramowania. Oficjalnie po to, by móc monitorować błędy i usprawniać funkcjonowanie aplikacji oraz systemów elektronicznych. Przykładowo dzięki przesyłaniu danych przez użytkowników Google Maps aplikacja może sprawniej naprowadzać kierowcę, dostosowując na bieżąco trasę do natężenia ruchu. Użytkownicy mogą również informować o zdarzeniach na drodze, a nawet – niestety – o policyjnych radarach, na wzór polskiej aplikacji Janosik. Przy okazji spółka Alphabet wchodzi w posiadanie niezwykle użytecznych i wartościowych danych na temat natężenia ruchu w poszczególnych miejscach kraju, aktywności policji i służb, wypadkowości na poszczególnych odcinkach dróg czy nawet poziomu przestrzegania przepisów. Tego rodzaju dane są bezcenne dla państwa,

które chce przeprowadzić działania dywersyjne na terytorium obcego kraju lub dokonać aktu bezpośredniej agresji wojennej.

Najnowsze pojazdy wyposażone są zwykle we własne aplikacje GPS i przesyłają dane do kraju producenta pojazdu. W Unii Europejskiej muszą one być zanonimizowane i dostosowane do RODO – rozporządzenia chroniącego dane osobowe. Nawet dane pozbawione informacji o osobach prywatnych mogą być jednak niezwykle użyteczne. Tym bardziej że najnowocześniejsze pojazdy pobierają również obrazy otoczenia i nagrania z kamer. Potencjalnie można je wykorzystywać w celu rozpoznania. Wystarczy przejechać obok kluczowych miejsc i przesłać obraz bezpośrednio na serwer szpiegującego państwa, nie wzbudzając przy tym podejrzeń. Nawet tego rodzaju szpiegowanie nie jest jednak najgorszym, co można sobie wyobrazić.

Literatura nie wyprzedziła realu

Trylogia kryminalna „Ukryta sieć” Jakuba Szamałki, w przeszłości m.in. scenarzysty gry „Wiedźmin 3”, zaczyna się od wypadku na warszawskiej estakadzie. Znany aktor traci kontrolę nad swoim SUV-em i wypada z drogi. Młoda dziennikarka zaczyna podejrzewać, że zdarzenie nie było wypadkiem drogowym, lecz zamachem. Hakerzy włamali się do komputera pokładowego pojazdu ofiary, przejęli kontrolę i celowo doprowadzili do drogowej tragedii. Już w 2019 r., gdy pojawił się pierwszy tom serii Szamałki, możliwość doprowadzenia do zamachu w ten sposób nie była więc nieznaną. Szkoda, że politycy oraz instytucje państwa zaczynają się na poważnie zajmować ryzykami związanymi z inteligentnymi samochodami dopiero niemal siedem lat po tym, jak zwrócili na to uwagę autorzy powieści kryminalnych.

Włamując się do pojazdu osoby trzeciej, można dokonać zamachu na oficjeli lub spowodować karambol drogowy w celu wywołania chaosu i umożliwienia ucieczki zamachowcom. Możliwość jest nieskończenie wiele i jedyne, co może ograniczyć wyobraźnię wrogich osób i służb, to zabezpieczenia przed włamaniami, którymi dysponują najnowsze pojazdy. Niestety wraz z rozwojem smart samochodów ujawnia się coraz więcej luk w ich systemach bezpieczeństwa.

Według publikacji „Shifting Gears. VicOne 2025 Automotive Cybersecurity Report” w pierwszej połowie 2024 r. odnotowano na świecie 103 przypadki cyberataków mających na celu złamanie zabezpieczeń branży motoryzacyjnej. W drugiej połowie roku było ich już 112. Nie wszystkie były wrogie – część z nich miała na celu ujawnienie słabości zabezpieczeń. Jedną trzecią włamań w pierwszej połowie roku i jedną piątą w drugiej dotyczyła systemów IT firm branży automotive, w tym także jej usług chmurowych, co mogło doprowadzić do wycieku danych wrażliwych. Największy atak tego typu przeprowadziła gangsterska grupa hakerów Black Suit, która zakłóciła działalność salonów samochodowych w całych Stanach Zjednoczonych, łamiąc zabezpieczenia opro-

BEZPIECZEŃSTWO

gramowania CDK Global. 17 proc. ataków dotyczyło samochodowych systemów IVI służących kierowcom do infotainmentu (informacja i rozrywka) oraz komunikacji. Tego typu działania mogą być potencjalnie wykorzystywane do działalności szpiegowskiej i podsłuchiwanie oficjeli lub kradzieży danych z ich podpiętych do auta smartfonów. Kolejnych 14 proc. włamań miało na celu przejęcie kontroli nad autonomicznymi asystentami kierowcy, czyli systemem ADAS. W ten sposób można już doprowadzić do zamachu lub drogowego chaosu.

Firma VicOne w swoim raporcie wyszczególniła również największe zagrożenia związane z łamaniem zabezpieczeń branży automotive. Na razie na pierwszych dwóch miejscach zdecydowanie przodują ataki na serwery chmurowe, na których producenci trzymają zasysane z inteligentnych samochodów dane, oraz kradzieże pojazdów. W 2024 r. zanotowano ponad 60 zdarzeń każdego z tych rodzajów. Na kolejnych dwóch miejscach znalazły się ingerencja osób trzecich w systemy asystentów kierowcy oraz zakłócenia lub włamanie do systemów IVI. W każdym z tych typów zagrożeń zanotowano ponad 30 przypadków w 2024 r. Na konferencji Pwn2Own Automotive 2024 badacze hakerzy złamali bariery systemów Sony XAV-AX5500, Alpine Halo9 i Tesla IVI.6, co w praktyce mogłoby umożliwić kradzież danych z samochodu za pośrednictwem powszechnie używanego protokołu Bluetooth.

Zdecydowanie najwięcej przypadków cyberataków na motoryzację zanotowano w USA, które odpowiadały aż za 46 proc. włamań. Na drugim miejscu znalazła się już jednak Europa – niemal co piąty atak hakerski dotyczył Starego Kontynentu. Azja odpowiadała za 13 proc. Lawinowo rośnie również liczba wykrytych luk w elektronicznych systemach samochodowych. Jeszcze w 2018 r. było ich zaledwie 36. W pandemicznym roku 2020 wykryto już 340 przypadków, a w 2024 r. – aż 530.

Pekin sam się broni

W dobie rosnących napięć geopolitycznych inteligentne samochody stają się więc obiektami podwyższonego ryzyka. Szczególnie te pochodzące z krajów traktowanych jako systemowi rywale. Oczywiście mowa tu przede wszystkim o Chinach, które są obecnie głównym partnerem Rosji i rzucają wyzwanie USA w rywalizacji o globalną hegemonię. Chiny włączyły się do branży automotive na globalną skalę niedawno, co paradoksalnie daje im przewagę nad starymi producentami samochodów, którzy są przyzwyczajeni do dawnych rozwiązań i często zbyt uparcie się ich trzymają. Dzięki „premiu za zapóźnienie” Chiny od razu weszły do segmentu inteligentnych samochodów, wyposażając swoje oferowane na globalnym rynku pojazdy w elektronikę na dużą skalę. Czołowi producenci z Państwa Środka, tacy jak BYD czy Chery, nie są kojarzeni z tanimi pojazdami niskiej jakości, lecz z SUV-ami i sedanami wyposażonymi w najnowsze rozwiązania – w przystępniejszych cenach niż produkty zachodniej konkurencji. W 2025 r. w całej UE Chiny odpowiadały za ponad 5 proc. rynku sprzedaży

nowych samochodów. W średnio zamożnej Polsce było to jednak dwa razy więcej.

Dodatkowy problem stanowiła subsydia rządowe, którymi ChRL hojnie obdarza swoje koncerny (Chery jest nawet przedsiębiorstwem państwowym). Właśnie dlatego UE wprowadziła cła na chińskie pojazdy EV, sięgające maksymalnie 35 proc. ponad standardową taryfę 10 proc. Pojawia się jednak konieczność uregulowania segmentu samochodów inteligentnych. Tym bardziej że Pekin sam restrykcyjnie podchodzi do tego tematu.

Według raportu „Smartfony na kółkach” Pauliny Uznańskiej z Ośrodka Studiów Wschodnich (OSW) Pekin nakłada na producentów aut i dedykowanych motoryzacji systemów elektronicznych wiele obowiązków dotyczących m.in. przechowywania kluczowych danych wyłącznie w Chinach (transfer tylko za zgodą Państwowej Administracji ds. Cyberprzestrzeni), wdrożenia systemów zarządzania bezpieczeństwem, kategoryzowania danych według stopnia ich znaczenia oraz dokonywania ocen ryzyka i raportowania. Od 2024 r. został uruchomiony system certyfikowania, w którym testowane i oceniane są: skuteczność anonimizacji danych z otoczenia i kabiny, gromadzenie i przetwarzanie danych z kabiny (domyślnie wyłączone, przesył tylko za zgodą kierowcy), informowanie o przetwarzaniu danych osobowych, precyzyjność i adekwatność danych gromadzonych przez pojazd (np. jeśli funkcja wymaga tylko wykrycia przeszkody, kamery nie powinny nagrywać obrazu w jakości pozwalającej identyfikować przechodniów). Pierwszym zagranicznym producentem inteligentnych samochodów, który uzyskał chińską licencję, została w kwietniu 2024 r. amerykańska Tesla produkująca w Państwie Środka od 2019 r. Firma Elona Muska otrzymała licencję dla swoich dwóch pojazdów. Poza tym certyfikat dostała także spółka joint venture niemieckiego Volkswagena i chińskiego FAW, a także cała lista chińskich producentów, wśród których znalazły się obecne już na polskim rynku BYD, XPeng i Geely.

Dodatkowo ChRL zdefiniowała kategorie danych, które są uznawane za szczególnie istotne dla interesu państwowego i bezpieczeństwa. Mowa przede wszystkim o danych dotyczących informacji geoprzestrzennych oraz przepływu osób i pojazdów w obszarach wrażliwych, takich jak, strefy zarządzania wojskowego czy jednostki przemysłu obronnego i naukowego. Znalazły się wśród nich również informacje mówiące o funkcjonowaniu gospodarki, twarze osób i numery rejestracyjne, zbiory danych osobowych powyżej 100 tys. oraz inne rodzaje faktów i statystyk, które wyszczególniły wyspecjalizowane chińskie instytucje publiczne. Pekin wprowadził restrykcyjne przepisy regulujące zasady zarządzania danymi wrażliwymi, które gromadzone są przez smart samochody. Poza wymienionym już wyżej kluczowym obowiązkiem przechowywania ich wyłącznie w Chinach, co powinno być regularnie weryfikowane. Mowa również o minimalizowaniu zakresu zbieranych informacji (m.in. poprzez dostosowanie rozdzielczości kamer), blokowaniu nieuprawnionego dostępu, nieodwracalnym usuwaniu

oraz możliwości wyłączenia gromadzenia faktów i obrazów (autorka raportu OSW nazywa to „trybem samolotowym w inteligentnych pojazdach”).

Pekin wdrożył również regulacje dotyczące cyberbezpieczeństwa. Segment smart samochodów objęty jest przepisami o infrastrukturze krytycznej, dzięki czemu próby włamań objęte są surowymi sankcjami. Producenci muszą wdrożyć systemy bezpieczeństwa obejmujące cały cykl życia pojazdów – od projektowania aż po wycofanie z użycia. Powinien on również obejmować ocenę ryzyka, stałe monitorowanie luk i procedury reagowania. Wszystkie dopuszczone do ruchu pojazdy powinny być wolne od niezalatanych luk, nieużywane porty komunikacyjne powinny pozostawać zamknięte, natomiast aplikacje zewnętrzne muszą przechodzić proces autoryzacji. Komunikacja pojazdów z chmurą ich producenta powinna się odbywać wyłącznie przy użyciu bezpiecznych protokołów, a system bezpieczeństwa musi wykrywać i odpierać ataki hakerskie oraz złośliwe oprogramowanie. Regulacje te dotyczą również wszelkich aktualizacji oraz przechowywania kluczy i danych uwierzytelniających.

UE musi odpowiedzieć

Według Pauliny Uznańskiej obecne restrykcje stosowane w całej Unii Europejskiej są zdecydowanie zbyt słabe. Nawet cła na chińskie EV (maksymalnie 35 proc.) są bardzo niskie na tle taryf stosowanych przez USA i Kanadę (100 proc.). Poza tym cła te nie obejmują inteligentnych pojazdów spalinyowych. W USA żaden samochód wyprodukowany od 2027 r. nie będzie mógł korzystać z oprogramowania i sprzętu łączności produkcji chińskiej lub rosyjskiej. W Izraelu chińskie samochody nie mogą się zbliżyć do instalacji obronnych, a wyżsi rangą wojskowi nie mogą z nich w ogóle korzystać. Restrykcje dotyczące aut made in China poruszających się w pobliżu placówek wojskowych i korzystania z nich przez pracowników resortu obrony stosuje również Wielka Brytania. Tymczasem, jak pisze analityczka OSW, „w dotychczasowych regulacjach unijnych i poszczególnych państw członkowskich brakuje szczegółowych norm technicznych oraz obowiązkowych audytów, które zapewniłyby systematyczną i praktyczną weryfikację poziomu cyberbezpieczeństwa oraz ochrony danych gromadzonych przez inteligentne pojazdy”.

Regulacje na szczelnie unijnym są niezbędne tym bardziej, że za najbliższym zakretem czai się kolejna rewolucja w branży motoryzacyjnej, czyli pojazdy autonomiczne. Amerykańska agencja NHTSA (National Highway Traffic Safety Administration) stosuje sześciopozycyjny system kategoryzacji samochodów pod względem ich autonomii. Poziom zero to standardowe współczesne pojazdy wyposażone w elektroniczne systemy asystentów kierowcy, które jedynie pomagają w jeździe, nie przejmując sterowania nawet na krótki czas. Obecnie w powszechnej dystrybucji znajdują się tylko auta z poziomów 1 i 2. Samochodom z poziomu pierwszego kierowca może oddać na jakiś czas sterowanie lub regulowanie prędkości. Szczelnie wyżej to pojazdy

mogące równocześnie przejmować okresowo panowanie nad kierownicą oraz gazem i hamulcem. Obecnie prowadzone są testy aut szczebla trzeciego, które mogą poruszać się same przez cały czas, jednak pod kontrolą użytkownika posiadającego prawo jazdy, który może w każdej chwili przejąć sterowanie. W saudyjskim Rijadzie chińskie przedsiębiorstwo WeRide przewozi ludzi swoimi Robotaxi w centrum miasta i okolicach lotniska. W każdej z tych taksówek obecny jest operator bezpieczeństwa.

Dopiero poziomy 4 i 5 to pojazdy w pełni autonomiczne, które nie wymagają obecności kierowcy – te z poziomu czwartego mogą poruszać się tylko na ściśle ograniczonych przestrzeniach, a z piątego – na wszystkich drogach publicznych. Ten najwyższy szczebel to dopiero melodia przyszłości. Poziom czwarty testowany jest w San Francisco, gdzie wyprodukowane przez Jaguar Land Rover robotaxi spółki Waymo przewożą ludzi wyłącznie po ściśle wytyczonych obszarach miasta.

Ryzyko rośnie wraz z autonomią

Pojawienie się pojazdów autonomicznych rozszerza zakres ryzyka wiążącego się z upowszechnieniem się samochodów inteligentnych. Oczywiście w pierwszej kolejności dotyczy to bezpieczeństwa jazdy. Wadliwe działanie częściowo autonomicznych systemów prowadzenia auta może prowadzić do drogowych tragedii. W 2018 r. w Arizonie taksówka Ubera zabiła przechodzącą przez jezdnię rowerzystkę, gdyż jej system nie zakładał możliwości wtargnięcia pieszego poza pasami, więc nie dał odpowiednio wcześniej sygnału operatorce bezpieczeństwa, która dodatkowo się zagapiła. Została skazana na trzy lata nadzoru, a Uber wstrzymał testy na rok. W 2025 r. w Chinach pojazd marki premium Xiaomi SU7 rozbił się na autostradzie, pędząc na autopilocie 120 km/h, ponieważ poinformował kierowcę o zagrożeniu dopiero 3 s przed wypadkiem (a nie 10 s wcześniej, jak powinien). Co gorsza, nie otworzył zablokowanych drzwi trójce pasażerów, którzy zginęli w płomieniach. W grudniu 2025 r. obejmujący jedną trzecią San Francisco blackout sparaliżował ruch drogowy, gdyż na pozbawionych prądu obszarach robotaxi Waymo traciły dostęp do internetu i automatycznie przechodziły w stan uśpienia, blokując pasy jezdni i skrzyżowania.

Ataki hakerskie i włamanie do systemu pojazdów w pełni autonomicznych są jeszcze groźniejsze niż w przypadku zwyczajnych samochodów inteligentnych, gdyż brakuje w nich kierowcy, który mógłby zareagować. Wrogie przejęcie panowania nad samochodem autonomicznym może potencjalnie umożliwić przeprowadzenie zamachu terrorystycznego lub zabicie przewożonego nim oficjela. Regulując funkcjonowanie inteligentnych samochodów, Unia Europejska nie powinna więc pominąć kwestii pojazdów autonomicznych, by nie zostać na spalonym w obliczu kolejnej rewolucji transportu drogowego. Przyszłość już tu jest, tymczasem Europa wciąż nie dogoniła teraźniejszości. ©©

Gospodarka

Hazard czy zbiorowa mądrość?

Kto zostanie prezydentem albo dostanie Złoty Glob, co założy Wołodimir Zełenski na szczyt NATO, czy Taylor Swift ogłosi, że jest w ciąży? Platformy prognostyczne pozwalają obstawiać prawie każde zdarzenie i zarabiają miliardy z błogosławieństwem ekipy Donalda Trumpa

Emilia

Świętochowska

Reklama Polymarketu z prognozą zwycięstwa Zohrana Mamdaniego w wyborach na burmistrza w Nowym Jorku



Gdy pod koniec 2025 r. Google ujawnił swoją roczną listę najczęściej wyszukiwanych osób na świecie, internauta postępujący się pseudonimem AlphaRaccoon wzbogacił się o ponad milion dolarów. Była to nagroda za niemal bezbłędną intuicję. AlphaRaccoon przewidział to, czego większość analityków nie potrafiła dostrzec. Wbrew powszechnym przypuszczeniom do czołówki rankingu popularności nie załapał się ani Donald Trump, ani Elon Musk. Zabrakło tam nawet Taylor Swift i członków brytyjskiej rodziny królewskiej. Pierwsze miejsce zajęła postać, która przebiła się do globalnej publiczności przez TikToka: 20-letni d4vd, amerykański wokalista łączący indie rocka z r&b. Kiedy AlphaRaccoon obstawiał swoje typy na platformie prognostycznej Polymarket, szanse muzyka na tytuł lidera wyszukiwań Google'a szacowano na 0,2 proc. Po publikacji zestawienia opiewający na niespełna 11 tys. dol. zakład zamienił się w 200 tys. dol. zysku. Tajemniczy gracz osiągnął bilans bliski ideału – w sumie 22 z 23 typów.

Tak imponująca trafność natychmiast wzbudziła podejrzenia, że nie stoi za nią wybitna przenikliwość, lecz dostęp do poufnych informacji. „To nie jest po prostu szczęśliwa passa” – napisał na X programista Mety Jeong Haeju, który odkrył, że już w listopadzie AlphaRaccoon zgarnął 150 tys. dol. za wskazanie dokładnej daty premiery Gemini 3, najnowszego modelu sztucznej inteligencji Google'a. Choć nie znaleziono twardych dowodów na to, że tajemniczy gracz pracuje w firmie z Mountain View, to jego wygrana nasiliła obawy, że platformy prognostyczne umożliwiają zarabianie na rynkowych manipulacjach i pomagają oszustom ukrywać się przed organami ścigania.

Zakłady o Taylor Swift

Jeszcze całkiem niedawno o platformach prognostycznych słyszeli jedynie ludzie zainteresowani kryptowalutami i innymi innowacjami finansowymi. Ale wystarczył nieco ponad rok, aby dzięki agresywnemu marketingowi i sceptycznemu wobec regulacji rządowi niszone start-upy przerodziły się w kwitujące biznesy, a ich młodzi założyciele awansowali do ligi technologicznych miliarderów. Niemal cały rynek podzieliły między siebie dwie platformy: Polymarket i Kalshi. Jak wynika z raportu firm analitycznych Keyrock i Dune, od początku 2024 r. miesięczna wartość transakcji wystrzeliła tam ze 100 mln dol. do 13 mld dol. W zeszłym roku obie spółki przyciągnęły też lawinę inwestycji venture capital, co wywindowało ich wyceny do odpowiednio 8 mld dol. i 11 mld dol.

Platformy prognostyczne przypominają hybrydę rynku finansowego i kasyna. Ich zasady działania są zводniczo proste: obstawianie sprowadza się do odpowiedzi „tak” lub „nie”. Zakładać się można o prawie wszystko: od wyników sportowych i zawirowań politycznych po wydarzenia w świecie popkultury i przyszłość ludzkości. Czy Donald Trump wystartuje w wyborach po raz trzeci? Czy Rosja napadnie na Polskę przed 30 czerwca 2026 r.? Czy sztuczna inteligencja prześcignie zdolnościami człowieka

do końca 2027 r.? Czy Elon Musk po raz 15. zostanie w tym roku ojcem?

W świecie celebrytów chyba nie ma innego tematu wywołującego bardziej gorące spekulacje niż życie Taylor Swift. Na przewidywania, czy gwiazda ogłosi ciążę, gracze wydali w 2025 r. ponad 2 mln dol. Rekordzista, który przewidział jej zaręczyny z Travisem Kelcem, zainwestował 12 tys. dol., zainkasował 52 tys. dol.

W przeciwieństwie do tradycyjnych form hazardu platformy prognostyczne nie pełnią funkcji bukmachera, który ustala kursy i zarabia na przegranych – użytkownicy obstawiają przeciwko sobie. A mówiąc bardziej formalnie: kupują „kontrakty na zdarzenie” (event contracts), którymi obraca się jak akcjami. Ich cena waha się od 0 do 1 dol. i odzwierciedla to, jak prawdopodobieństwo określonego scenariusza ocenia w danym momencie „społeczność inwestorska”. Jeśli za obstawienie upadku reżimu w Iranie przed końcem roku trzeba zapłacić 0,40 dol., to znaczy, że według zbiorowej mądrości rynku szanse obalenia ajatollahów wynoszą 40 proc. Platformy działają więc jako pośrednicy w handlu, pobierając prowizję od każdej transakcji (zwykle 1–5 proc.). Do płatności używa się portfeli kryptowalutowych, co dodatkowo utrudnia zdemaskowanie graczy.

Wygrana AlphaRaccoona nie jest pierwszą sprawą, która wywołała zarzuty, że rynki prognostyczne są podatne na brudne praktyki. Najgłośniejszy przypadek miał związek z operacją USA w Wenezueli na początku roku. Kilkanaście godzin przed atakiem jeden z nowych użytkowników Polymarketu postawił ponad 32 tys. dol. na to, że przed końcem stycznia Nicolás Maduro zostanie usunięty z urzędu. Kiedy samolot z dyktatorem na pokładzie wylądował w Stanach Zjednoczonych, suma na jego kryptowalutowym koncie przekraczała 436 tys. dol. Media społecznościowe kipiły od domysłów na temat tożsamości fariarza: niektórzy sugerowali, że w administracji doszło do przecieku, inni zastanawiali się, czy ktoś z otoczenia prezydenta nie pokusił się o spieniężenie cennych informacji. Krążyły nawet żarty, że za całą aferę odpowiada najmłodszy syn Trumpa, 19-letni Barron, który od dłuższego czasu pomaga braciom w ich przedsięwzięciach krypto. Dowodów na nadużycia nie przedstawiono, ale wątpliwości pozostały.

Oszustom nie zawsze udaje się zachować anonimowość. W połowie lutego izraelska policja aresztowała dwóch mężczyzn – rezerwistów i cywila – pod zarzutem wykorzystywania tajemnic wojskowych do obstawiania zakładów na Polymarket. Oba czeka teraz proces o przekupstwo, utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości i popełnienie „poważnych przestępstw przeciwko bezpieczeństwu”. Choć władze oficjalnie tego nie potwierdziły, wyciek prawdopodobnie dotyczył nalotów na Iran przeprowadzonych przez Izrael w czerwcu 2025 r. Stacja telewizyjna Kan podała niedawno, że 24 godziny przed pierwszymi bombardowaniami anonimowy użytkownik postawił dziesiątki tysięcy dolarów na datę rozpoczęcia interwencji.

Oba epizody to tylko najbardziej niepokojące przykłady z dłuższej serii. Krótko przed ogłoszeniem liderki wenezuelskiej opozycji Maríi Coriny Machado

laureatką Pokojowej Nagrody Nobla jej szanse na wyróżnienie nagle skoczyły z 3,75 proc. do 73 proc. Dochodzenie wykazało, że prawdopodobną przyczyną było włamanie do systemów informatycznych komitetu noblowskiego. Niektóre zakłady wywołują spory interpretacyjne. Tak było z awanturą o garderobę prezydenta Ukrainy, która wybuchła latem ubiegłego roku. Grupa użytkowników Polymarketu obstawiła, że na nadchodzącym szczycie NATO Wołodymyr Zełenski stawi się w garniturze. Platforma uznała jednak, że czarna marynarka i koszula, które miał na sobie, nie spełniają kryteriów. Mimo że zarówno modowi eksperci, jak i sam projektant nazywali ubiór prezydenta garniturem, instancja arbitrażowa przyznała rację Polymarketowi. Wściekli gracze oskarżyli go o manipulację. W zakładach utopili razem 160 mln dol.

Inteligencja tłumu

Fala oskarżeń o nieprawidłowości jest pokłosiem tego, że rynki prognostyczne funkcjonują w regulacyjnej szarej strefie. Gdyby obowiązywały je te same przepisy co spółki publiczne, to gracze podejrzewani o wykorzystywanie poufnych informacji mieliby na głowie śledztwo Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, które mogłoby się dla nich skończyć więzieniem lub karą finansową. Kontrola nad Polymarketem i Kalshi jest dużo bardziej ograniczona. Podlegają one Commodity Futures Trading Commission (CFTC), instytucji nadzorującej obrót kontraktami futures, która nie ma odpowiednich uprawnień i personelu, by tropić poważne nadużycia.

Krytycy przekonują, że zakłady na platformach to hazard w przebraniu inwestycji. O zatarciu granicy między bukmacherką a przewidywaniem najlepiej świadczy to, że 85 proc. obrotów na Kalshi przypada na zakłady sportowe. W przypadku Polymarketu ruch jest bardziej zróżnicowany: 39 proc. transakcji dotyczy sportu, a 34 proc. polityki. Ale w obu przypadkach logika jest taka sama: stawiasz pieniądze w nadziei na wygraną. Podobnie jak aplikacje hazardowe, platformy prognostyczne są zaprojektowane tak, by wciągać użytkowników w dopaminową pętlę: „żywe” wykresy, jaskrawe słupki, animacje nagród, rankingi liderów, alerty o gorących ofertach...

Większość państw europejskich traktuje rynki prognostyczne jak internetowe kasyna. Polskie Ministerstwo Finansów na początku 2025 r. wpisało Polymarket i Kalshi do rejestru domen oferujących nielegalny hazard. Tym samym tropem poszły m.in. Włochy, Niemcy, Francja, Belgia i Holandia. Znana z deregulacyjnego zapału administracja Trumpa nie zamierza dołączać do tego grona. Bunt narasta za to na poziomie stanów: do sądów trafiło już co najmniej 20 pozwów kwestionujących status Polymarketu i Kal-

shi. Powody, dla których platformy bronią się przed etykietą bukmacherów, są proste: w każdym stanie, w którym chciałyby działać, musiałyby uzyskać zezwolenie, podnieść granicę wiekową, płacić podatki, przeprowadzać audyty itd.

Dlatego opakowują się w narrację, w której prezentują się jako bezcenne źródła prawdy w czasach baniek informacyjnych, kryzysu instytucji i nieufności wobec nauki. U podstaw platform prognostycznych leży idea, że rynek to jedyny mechanizm, który z natęku danych, sprzecznym opinii i plotek może wydestylować mądrość zbiorową. Towarzyszy temu przekonanie, że jeśli ludzie są gotowi zaryzykować własne pieniądze, to ich intuicje opierają się na solidnych przesłankach. Jeśli więc zmienimy każde zdarzenie w towar o określonej cenie, to otrzymamy wiedzę nieskażoną uprzedzeniami i emocjami, czyli to, czego nie zapewniają dziś media, eksperci ani sondaże. – Nasza długofalowa wizja zakłada sfinansalizowanie wszystkiego – mówił w październiku 2025 r. na konferencji Citadel Securities Tarek Mansour, 29-letni współzałożyciel i CEO Kalshi. Nie są to nowe pomysły. Libertariańscy ekonomiści od lat snuli wizje rynków, które potrafiłyby skutecznie odfiltrowywać prawdę od przeczuć i subiektywnych sądów. W 2000 r. Robin Hanson z Uniwersytetu George’a Masona zaproponował nawet nową formę rządu – futarchię, w której politycy podejmowałiby decyzje, bazując wyłącznie na wskazówkach giełd prognostycznych. Dwie dekady później technologiczni zapaleńcy zaprzęgli te koncepcje w architekturę blockchaina.

Tarek Mansour zaczął obmyślać swój projekt platformy prognostycznej w 2016 r., gdy jako młody analityk Goldmana Sachsa próbował przewidzieć konsekwencje zwycięstwa Trumpa i brexitu. Dla Shayne’a Coplana, 28-letniego założyciela Polymarketu, moment twórczej destrukcji nastąpił w pandemii. Pojawiało się wtedy tyle różnych opinii i scenariuszy, że odwołanie się do inteligencji tłumy wydało mu się najlepszym sposobem na zniwelowanie niepewności. Jak stwierdził w wywiadzie dla CBS News, Polymarket to „najdokładniejsze narzędzie, jakim dysponuje ludzkość, dopóki ktoś nie wynajdzie jakiejś superkryształowej kuli”. Jego zdaniem platforma oferuje „dziennikarstwo oparte na rynku”, które może stanowić dobrą alternatywę dla tradycyjnych mediów.

Wygrana Trumpa

Popularność Polymarketu eksplodowała latem 2024 r. po katastrofalnym występie Joego Bidena w debacie prezydenckiej. Nagle rozkręciła się machina spekulacji. Biden zarzekał się, że nie zamierza ustąpić, a demokratyczny establishment zżarcie bronił swojego kandydata. Ale ludzie im nie dowierzali – i ruszyli do ob-

stawiania. Wywołało to reakcję łańcuchową. Kiedy do gry weszła Kamala Harris, platforma z tygodnia na tydzień notowała dwu-, trzykrotne wzrosty obrotów. Wiczcór wyborczy przyniósł Coplanowi ostateczne potwierdzenie słuszności jego idei: o ile sondaże do końca kampanii pokazywały, że kandydaci idą łeb w łeb, o tyle Polymarket już na miesiąc przed głosowaniem przewidywał wyraźne zwycięstwo Trumpa, dając mu 62–67 proc. szans. Łączna wartość zakładów dotyczących zwycięgu o Białym Domu przebiła 3 mld dol.

Co ciekawe, oficjalnie platforma była wówczas niedostępna na terenie Stanów Zjednoczonych. W 2022 r. Commodity Futures Trading Commission nałożyła na nią 1,4 mld dol. grzywny za niedopełnienie obowiązków rejestracyjnych i zobowiązała ją do wprowadzenia geoblokady. Zakaz okazał się fikcją – żeby obstawiać, wystarczyło zainstalować VPN. Tydzień po wyborach sytuacja prawna Polymarketu jeszcze bardziej się skomplikowała: FBI zrobiła nalot na mieszkanie CEO i skonfiskowała mu telefon w związku ze śledztwem w sprawie umożliwiania Amerykanom korzystania z platformy. Według Coplana akcja była odwetem za to, że większość graczy wytypowała wygraną Trumpa.

Gdy ekipa MAGA wprowadziła się do Białego Domu, podejście do branży krypto zmieniło się o 180 stopni. Kłopoty Polymarketu błyskawicznie się skończyły. Departament Sprawiedliwości umorzył postępowanie karne. Na platformę można już było wejść bez VPN. Coplan dostał zaproszenie na szczyt w Białym Domu poświęcony aktywom cyfrowym. A doradcą obu głównych platform został najstarszy syn prezydenta Donald Jr.

Ich potencjał dostrzegł też świat sportu i mediów. Polymarket podpisał z Dow Jones (wydawcą „Wall Street Journal”) porozumienia gwarantujące partnerom dostęp do danych. Kalshi weszła w podobną współpracę z CNN i CNBC. Kursy przejęcia przez demokratów Izby Reprezentantów stały się takim samym elementem ramówki całonocnych stacji telewizyjnych jak sondaże poparcia dla Trumpa i notowania Nasdaq. Ukoronowaniem tych kontraktów była wieloletnia umowa obu platform z NHL (National Hockey League). Wszechobecność prognoz i przyjazna polityka Białego Domu pomogły im przyciągnąć nowych graczy – od 2024 r. liczba użytkowników skoczyła z 4 tys. do 600 tys., z czego gros to młodzi mężczyźni.

Choć Polymarket podkreśla, że jego prognozy sprawdzają się w ponad 90 proc. przypadków, to wiele z nich dotyczy zdarzeń, które łatwo odgadnąć. Po ostatniej ceremonii rozdania Złotych Globów Coplan chwalił się, że jego platforma poprawnie wytypowała 26 z 28 laureatów, ale w większości kategorii faworyt był oczywisty. Niejeden miłośnik kina i telewizji poradził sobie równie dobrze. Na zachowanie rynków może też wpłynąć kilka dużych zakładów. Niecałe dwa miesiące przed wyborami w USA pewien francuski inwestor postawił z kilku kont 30 mln dol. na zwycięstwo Trumpa. Według analizy firmy Chaos Labs krótko potem notowania zaczęły się przechylać na korzyść przywódcy MAGA. Niewykluczone, że Francuz liczył na taki właśnie scenariusz. Po podliczeniu głosów jego konto powiększyło się o ponad 85 mln dol. ©

Gdyby platformy prognostyczne obowiązywały te same przepisy co spółki publiczne, to gracze podejrzewani o wykorzystywanie poufnych informacji mieliby na głowie śledztwo Komisji Papierów Wartościowych i Giełd



Mniej Więcej

Łukasz

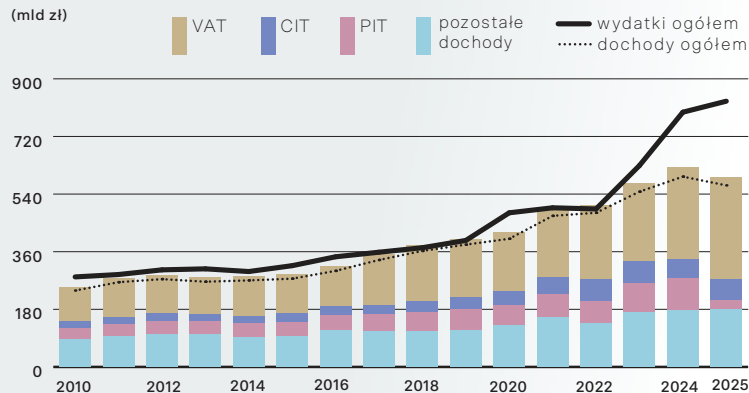
Wilkiewicz

Dochody budżetu spadły na życzenie

Ministerstwo Finansów podsumowało wyniki budżetu centralnego za 2025 r. Pierwszy raz od 2015 r. mieliśmy spadek dochodów w ujęciu nominalnym. W dodatku wyniósł on niemal 5 proc. To skutek zmian w finansowaniu samorządów – część subwencji została zastąpiona większym udziałem JST we wpływach z podatków dochodowych. Dotyczy to zwłaszcza PIT. Księgowane przez budżet wpływy z podatku dochodowego od osób fizycznych zmalały w porównaniu z 2024 r. o 70 proc. Były nominalnie mniejsze nawet niż 15 lat wcześniej. Najważniejszy dla budżetu jest VAT. Tu w 2025 r. nastąpił wzrost o 12 proc. (wyższy niż w latach 2022–2023, ale w 2024 r. wpływy z VAT urosły o 18 proc. – efekt wygaśnięcia zerowej stawki na produkty spożywcze). ©

Budżet państwa

(mld zł)



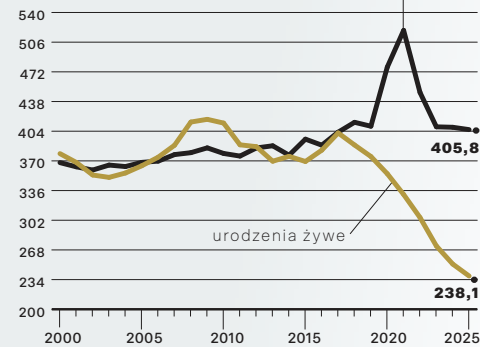
Źródło: Ministerstwo Finansów, Główny Urząd Statystyczny

Coraz większy ubytek naturalny

W 2025 r. mieliśmy niespełna 406 tys. zgonów. To najmniej od 2017 r. – wynika z danych Głównego Urzędu Statystycznego. Na tym jednak koniec dobrych wiadomości z dziedziny demografii. Mniejsza liczba zgonów to po części efekt

Ruch naturalny ludności

(tys.)



Źródło: Główny Urząd Statystyczny

utrzymującego się od ponad dekady trendu spadku liczby ludności. Jeśli pominąć pandemiczny rok 2021, to w ubiegłym roku ten spadek był rekordowy: zgonów było o 167,7 tys. więcej niż urodzeń. Tych ostatnich zarejestrowano 238,1 tys., o ponad 5 proc. mniej niż w 2024 r. i o ponad jedną trzecią mniej niż dekadę wcześniej. W ciągu 10 lat zmarło niemal 4,3 mln osób, urodziło się o niemal 1 mln mniej. ©

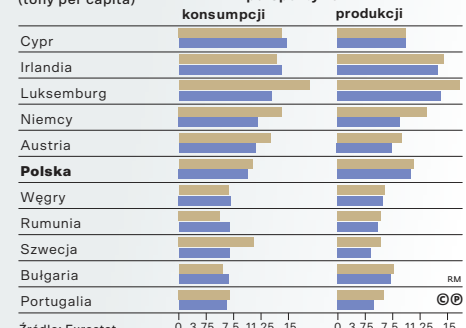
Emisyjność gospodarki w dół, ale powoli

Nasza gospodarka staje się coraz mniej emisyjna, ale nie w przeliczeniu na liczbę ludności (patrz: wyżej). W 2023 r. (to najświeższe dane Eurostatu) emisje gazów cieplarnianych per capita wyniosły u nas 9,5 t. W porównaniu z 2013 r. oznacza to

Emisje gazów cieplarnianych

Pięciu największych i najmniejszych emitentów na tle Polski

(tony per capita)



Źródło: Eurostat

6-proc. spadek. W tym samym czasie Unia Europejska zmniejszyła emisje o 14 proc. Pod względem emisyjności Polska zajmuje 10. miejsce w Unii Europejskiej – jeśli weźmiemy pod uwagę perspektywę konsumpcyjną. Bo jeśli popatrzeć od strony emisyjności produkcji, to jesteśmy w UE na czwartym miejscu, za Luksemburgiem, Danią i Irlandią. Tu w ciągu 10 lat wskaźnik emisyjności per capita zmniejszyliśmy o 4 proc. Średni spadek w UE to 20 proc. ©

Historia

Interesuje mnie to, co idee robią ludziom

Przykład przedwojennych uniwersytetów pokazuje, jak patriotyczna młodzież opowiedziała się za najbardziej radykalnymi i wykluczającymi rozwiązaniami, bo bała się przyszłości, chciała zbudować silną wspólnotę i przezwyciężyć kryzys

Z Izabelą

Mrzygłód

rozmawia Krzysztof Katkowski

Pani ostatnia książka – nagrodzona Nagrodą Klio II stopnia „Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym” – to oficjalnie praca historyczna... To książka na wskroś historyczna, choć pisałam ją ze świadomością, że może też stanowić komentarz do wydarzeń współczesnych. Historycy nie są co prawda dobrymi analitykami współczesności, bagaż wiedzy historycznej często za bardzo ich obciąża, ale opisywane procesy socjologiczne i reakcje psychologiczne obserwowane z bezpiecznego dystansu czasu mogą pomóc zrozumieć obecne, niebezpieczne mechanizmy, w tym przypadku związane z radykalizacją czy hejtem. Mam też świadomość, że to, co się działo wokół mnie w czasie pisania książki, mocno na mnie wpływało jako badaczkę. Na pewno nie uchroniłam się przed pewnymi przepięciami. Poza tym nie wierzę, że jako historycy możemy pisać zupełnie sine ira et studio [bez gniewu i upodobania – red.]. Powinniśmy zachowywać standardy warsztatu, brać pod uwagę wszystkie dostępne źródła, uwzględniać różne głosy i nikomu nie dawać na wstępie wiary. Po prostu pisać z krytycznym namysłem. Mamy jednak określoną wrażliwość, ukształtowaną

przez konkretne wartości. Nigdy nie ukrywałam, że mi są bliskie wartości lewicowe i liberalne, że jestem blisko katolickiej lewicy i z pewnością mój światopogląd wpłynął na tę książkę. Zresztą bywa ona już nazywana książką ekspiacyjną, bo poniekąd wzywa Uniwersytet Warszawski do zmierzenia się z międzywojenną przeszłością, chociażby uniwersyteckim antysemityzmem. Nie zgadzam się jednak z tą etykietą, jest to z pewnością interwencja w pamięć, ale nie ekspiacja.

Dlaczego zajmować się uniwersytetami, a nie – bardziej klasycznie – historią idei? Zwykle mamy narracje skupione na autorach i tekstach...

Ponieważ mnie nie interesuje historia idei jako taka. Interesuje mnie to, jak idee działają: jak wpływają na ludzi, co im robią, jak są interpretowane i jak próbuje się je wdrażać w życie. Interesują mnie ludzie w działaniu, w relacjach. Zawsze czułam się historyczką społeczną. Skupienie się na uniwersytetach wynikało też z nerwu społecznego. Potraktowałam Uniwersytet Wiedeński i Uniwersytet Warszawski jak dwie soczewki, przez które mogłam przyjrzeć się konkretnej społeczności, wspólnocie, grupie ludzi. W swoich fascynujących „Rozważaniach o wieku XX” Timothy Snyder i Tony Judt mówią o Arthurze Koestlerze, angielskim pisarzu i dziennikarzu o korzeniach węgiersko-żydowskich, że był doskonały w „średnim rejestrze”: nie interesowało



FOT. NAC

wały go wielkie idee i modele ideologiczne, ale postawy umysłowe, wypaczone światopoglądy, ludzie. Dla mnie to zdanie jest w pewnym sensie mottem. Interesuje mnie właśnie ten „średni rejestr”: przecięcie codziennego życia, mikrohistorii z wielką polityką i wielkimi ideami. Zresztą Koestler jest jednym z bohaterów mojej książki, bo studiował na Uniwersytecie Wiedeńskim. Wtedy był jeszcze syjonistą, a później został komunistą, więc w jego biografii te radykalne idee bardzo się kotłowały. Uniwersytety umożliwiają uchwycenie ówczesnych radykalizmów i napięć nowoczesności. Gdy ostatnio prezentowałam książkę na seminarium prof. Andrzeja Friszkego, doszliśmy do wniosku, że pod koniec lat 30. w Polsce istniały już silne, radykalne ruchy społeczne o zabarwieniu ludowym czy lewicowym – wystąpienia chłopskie, strajki bezrobotnych. A jednak sanacja skręciła w prawo, bo w prawo skręcili studenci, czyli przyszłe elity kraju. To jest znaczące. Studenci byli kimś więcej niż tylko niewielką grupą młodzieży stanowiącą wtedy 2-3 proc. kohorty wiekowej. Dlatego chciałam się im przyjrzeć: zobaczyć, co myśleli i jak funkcjonowali.

Teraz wszyscy są nazywani „faszystami”, lewica także. Tę etykietę wyciąga się z rękawa przy każdej okazji, co uniemożliwia dyskusję. Dlatego w tej książce nie szafuję pojęciem faszyzmu. Piszę o skrajnej prawicy, którą definiuję poprzez dobór wrogów. Skrajna prawica to dla mnie te ugrupowania i środowiska, które są antyżydowskie, antyliberalne, antydemokratyczne, antysocjalistyczne i w tamtym okresie także wyraźnie antymasońskie, a jednocześnie stoją na straży bardzo konserwatywnych wartości i na stanowisku etnicznego nacjonalizmu, który wyklucza Innych. Część tych środowisk świadomie identyfikują jako faszystowskie. Uważam, że polska Falanga, a precyzyjniej Ruch Narodowo-Radykalny, doskonale

mieści się w definicji faszyzmu rodzajowego, o którym pisze Roger Griffin. Nie mam więc poczucia, że komukolwiek przyklejam łatkę. Bardzo skrupulatnie i precyzyjnie określam, kogo uznaję za faszystów, a kogo nie. To zresztą jest kluczowe: widzieć spektrum. Nawet na prawicy, również tej skrajnej, istnieje wewnętrzne zróżnicowanie. To nie jest świat czarno-biały, podzielony na faszystów i demokratów. To są grupy ulokowane na pewnej osi, przemieszczają się po niej w czasie lub tkwią przy danych poglądach. I o tym jest ta książka – o radykalizacji, o tym, jak poglądy, które w danym momencie mogą się wydawać bezpieczne, racjonalne czy zdroworozsądkowe, w określonej rzeczywistości historycznej mogą prowadzić do skrajnych rozwiązań i do przemocy. Pokazuję, jak idee postrzegane przez ich wyznawców jako po prostu patriotyczne stają się stopniowo coraz bardziej skrajne i niebezpieczne. Patriotyzm, który jest przeciw obywatelską cnotą, źle pojęty, może prowadzić do szowinizmu. Jednak może też być otwarty, integrujący, stanowić zaporę przed wykluczającym nacjonalizmem. Wybór należy do nas, obywateli.

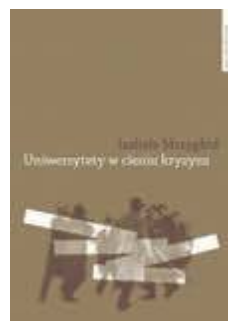
Porównuje pani Warszawę z Wiedniem. Dlaczego? To porównanie jest w gruncie rzeczy oczywiste, choć na pierwszy rzut oka te kraje znajdują się w zupełnie różnych momentach. Polska odradza się jako państwo po latach niewoli, a Austria znajduje się na zakręcie – to państwo, które de facto nie chciało niepodległości ani suwerenności i dążyło do przyłączenia się do Rzeszy Niemieckiej, czemu sprzeciwili się alianci. Austria niesie też ogromny bagaż imperialny: jest poobijanym państwem przegranej wojny, pozostałością imperium, które się rozpadło. Umarł cesarz rządzący niemal 70 lat, a dotychczasowa rzeczywistość rozpadła się dosłownie na kawałki. Wydawałoby się więc, że są

Studenci zawieszający antyżydowskie transparenty na bramie Uniwersytetu Warszawskiego. Listopad 1936 r.

to zupełnie odmienne światy. Mnie jednak interesują przede wszystkim procesy i zjawiska. A tutaj widać istotne podobieństwa: ważną rolę katolicyzmu, znaczenie antysemityzmu i Żydów jako aktora społecznego. Antysemityzm austriacki i polityczny katolicyzm sprzed 1914 r. oddziałują poprzez Galicję na ziemię polskie. Mamy też dwa państwa mierzące się z poważnymi kryzysami: gospodarczymi, społecznymi, politycznymi. Oba odchodzą od demokracji, mimo że na początku lat 20. przyjmują bardzo liberalne, demokratyczne konstytucje. Nieprzypadkowo badania nad bezrobociem w latach 30. rozwijały się właśnie w Austrii i w Polsce. Młodzież w obu krajach mówi o kryzysie nie tylko ekonomicznym, lecz także kulturowym – o rozpadzie cywilizacji, zaniku

Izabela Mrzygłód

„Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym” Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2025 r.



wartości, zwłaszcza chrześcijańskich i katolickich, które chce odbudować.

Dziś, np. w kontekście Trumpe, często się uważa, że to na uniwersytetach dobrze ma się lewica. Dlaczego wtedy było wręcz przeciwnie? Zwłaszcza że i w Warszawie, i w Wiedniu tuż obok funkcjonował bardzo żywy, lewicowy świat intelektualny – kawiarnie, środowiska literackie. Wydawałoby się, że wszystko powinno pójść raczej w lewą stronę.

Na początku rzeczywiście tak się wydawało. W 1918 r. nad Warszawą wisi czerwony sztandar, w Wiedniu mamy wrzenie rewolucyjne, w 1919 r. w Budapeszcie powstaje komunistyczna dyktatura Beli Kuna. W Polsce początkowo można było odnieść wrażenie, że młodzież akademicka ciąży raczej ku lewicy. To, co się dzieje później, wiąże się w moim przekonaniu z procesem etniczności życia społecznego i z narodzinami państw narodowych. Te państwa wymagają od swoich obywateli patriotyzmu, ale też wyraźnej, jednoznacznej deklaracji tożsamościowej, narodowej. Młodzież bardzo silnie wchodzi w ten proces. Studenci czują się elitą nowych państw i chcą je aktywnie budować. A przejście od walczącego patriotyzmu do wykluczającego nacjonalizmu okazuje się w tym momencie niezwykle łatwe. W przypadku Polski kluczowy jest też rok 1920. Wpływ wojny polsko-bolszewickiej to temat wciąż słabo rozpoznany. Próbowałam go analizować, choć trudno było o źródła studenckie, ale mamy do czynienia z młodzieżą, która masowo staje do obrony niepodległości przed bolszewikami. Antykomunistyczny, a szerzej antylewicowy zwrot staje się w tej sytuacji czymś naturalnym i z niego wypływają kolejne napięcia.

A w Austrii? Mechanizm jest podobny. Ogromną rolę odgrywa strach przed tym, co wydarzyło się w Budapeszcie – przed dyktaturą bolszewicką. To wzmacnia nerw antykomunistyczny i właśnie wtedy pojawia się mit żydokomuny, rozumiany jako reakcja lękowa na wyobrażone zagrożenie. Dodatkowo jeszcze w czasie I wojny światowej do Austrii napływa bardzo wielu uchodźców z Galicji, w tym ogromna liczba Żydów. Na uniwersytetach wyraźnie rośnie liczba studentów, a w szczególności studentek żydowskich. Spada liczba studentów niemieckich, którzy są powoływani do armii. Podobne procesy widoczne są w Polsce u progu niepodległości. Rośnie liczba studentów żydowskich na uczelniach, m.in. dlatego, że rzadziej idą do wojska. W części społeczności żydowskiej widoczna jest niechęć do poboru, jednak często sama armia też ich nie chce. Rzadko się o tym mówi, ale w 1920 r. podoficerowie i oficerowie pochodzenia żydowskiego zostali internowani przez władze polskie w obozie w Jabłonnie. Przed decydującą bitwą warszawską władze wojskowe zdecydowały o usunięciu szeregowych pochodzenia żydowskiego z jednostek stacjonujących w Warszawie i okolicach. ▷

Obawiano się, że nie będą lojalni wobec państwa polskiego. I wielu młodych Żydów, nawet jeśli chcieli wstąpić do wojska, nie było przyjmowanych właśnie z tego powodu. Później stało się to zapalnikiem konfliktów i źródłem oskarżeń: o brak przywiązania do państwa, brak patriotyzmu, o to, że nie stanęli w obronie kraju, gdy ten tego potrzebował. Na tej podstawie zaczęto uzasadniać ich wykluczanie ze wspólnoty narodowej i akademickiej.

Jako ważny element w procesie radykalizacji opisuje pani organizację samopomocową.

Zależało mi na dotarciu do zwykłych studentów, a nie tylko do działaczy organizacji politycznych, o których już wiele napisano. Organizacje samopomocowe – struktury, których dziś właściwie nie da się do niczego porównać – były czymś pomiędzy spółdzielnią, organizacją pomocową i samorządem studenckim. Zapewniały zapomogi, pożyczki, tani dostęp do skryptów, prowadziły magazyny odzieżowe, jadalnie, a nawet tanie zakłady fryzjerskie. Tworzyły bazę wsparcia dla studentów. W dwudziestolecu międzywojennym każdy student musiał zapłacić wpisowe, czesne za semestr i opłaty egzaminacyjne. Nie każdy mógł sobie na to pozwolić, a studiowanie było ogromnym wysiłkiem finansowym dla rodzin, więc dominowały dzieci inteligencji i urzędników, a w Wiedniu – wykształconego mieszczaństwa i burżuazji. Wielu studentów znajdowało się w bardzo trudnej sytuacji materialnej. Po I wojnie światowej sytuacja była ekstremalnie trudna. W Wiedniu studenci byli skrajnie niedożywieni. Po wojennej blokadzie morskiej państw centralnych Austria zmagala się z dramatycznymi brakami żywności, co szczególnie dotykało ludność miejską. Jadalnie prowadzone przez organizacje studenckie przyciągały więc ogromną liczbę młodych ludzi. Organizacje te bardzo szybko się rozrastały i obejmowały większość studentów. Poza tym były atrakcyjne, bo organizowały bale, spotkania towarzyskie, tzw. czarne kawy, pomagały w integracji studentów z różnych stron kraju. Władze akademickie uznały je za reprezentację środowiska, de facto za samorząd. Odbywały się w nich regularne wybory. Na początku lat 20. w Warszawie Bratnia Pomoc rzeczywiście funkcjonowała jak republika akademicka. Powstała już w listopadzie 1915 r., niemal równoległe z otwarciem uczelni. W roku akademickim 1917/1918 należało do niej blisko 75 proc. studentów, a u progu lat 30. liczyła ponad 6 tys. członków, co stanowiło około 69 proc. ogółu studiujących i aż 91 proc. studentów chrześcijańskich. Była więc faktycznym centrum życia akademickiego. Początkowo deklarowała otwartość „bez różnicy płci, pochodzenia i wyznania”, jednak potem zaczęli w niej dominować studenci nacjonalistyczni, którzy doprowadzili do wykluczenia studentów żydowskich. To właśnie w ramach tej organizacji – a nie na marginesach życia uczelni – sformułowano postulaty polityczne, które później

stały się dominujące. Współcześnie nie mamy na uniwersytetach struktur, które w tak totalny sposób obejmowałyby życie studentów: materialne, społeczne, polityczne i reprezentacyjne jednocześnie.

I kiedy następuje ten zwrot w stronę nacjonalizmu? W latach 20. Jak wspomniałam, to pokłosie wojny polsko-bolszewickiej i efekt logiki państw narodowych, które zaczynają oczekiwać od obywateli jednoznacznej deklaracji tożsamości narodowej. Kluczowe są też kampania przeciwko Gabrielowi Narutowiczowi i jego zabójstwo w 1922 r. Jak pisze Paweł Brykczynski w książce „Gotowi na przemoc”, mamy tu do czynienia z przeformowaniem w życiu publicznym zasady „polskiej większości” – przekonania, że etniczni Polacy powinni decydować o tym, jak funkcjonuje państwo. Ta logika przenosi się także na uniwersytety. To nie przypadek, że właśnie wtedy w organizacjach samopomocowych pojawiają się postulaty wykluczenia Żydów i wprowadzenia numerus clausus.

Dlaczego akurat studenci? To młodzież, która jest częścią elit społecznych, czuje się odpowiedzialna za państwo i chce być awangardą. Kiedy zaczyna dominować przekonanie, że państwo musi być etnicznie narodowe, studenci bardzo łatwo przejmują tę ideę. Nadchodzi rok 1926. Zamach majowy ujawnia głęboki konflikt i jest aktem przemocy. Dla wielu studentów jest to szok, w walkach giną też ich koledzy po obu stronach. Sanacja próbuje potem zjednać sobie młodych, ale dla nich pozostaje opresyjną władzą, reżimem, „starymi”. Zakładając własne organizacje i sypiąc groszem, podsycia bunt. Nikt nie chce być karierowiczem. Ten sprzeciw wobec „starych elit” staje się paliwem radykalizacji. A ta idzie w prawą stronę. Radykalizm jest tu formą emancypacji młodego pokolenia – buntem przeciwko starszym, przeciwko władzy, przeciwko tym, którzy dysponują pieniędzmi i wpływami. To bardzo silnie widać właśnie w organizacjach samopomocowych.

Pisze pani o tym, że część ówczesnych studentów z Wiednia później poparła Hitlera.

W wypadku UW pozostawia pani niedopowiedzenie... Polska prawica nie poszła na współpracę z Hitlerem, ale te dopowiedzenia nie wydawały mi się konieczne. Zresztą opowieść o Wiedniu kończę w roku 1933, kiedy nic jeszcze nie jest przesądzone i gdy instaluje się reżim Engelberta Dolfussa. Ta książka ma zwracać uwagę na procesy i mechanizmy, na ich zasięg, a nie wystawiać akty oskarżenia czy dokonywać prostych porównań ONR-owców do nazistów. Pod tym się nie podpisuję. Nigdy nie mówiłam też, że ta książka nie interweniuje we współczesność. Mówię natomiast, że nie rości sobie prawa do analizy współczesności i że nie jest książką ekspiacyjną. Jest wezwaniem

do namysłu i dla władz akademickich, i dla inteligencji. Pokazują, że przemoc na uniwersytetach miała duży zasięg i systemowy charakter, a do tej pory nie została ani dobrze udokumentowana, ani jasno opisana. Co więcej, odpowiedzialność za jej eskalację ponosiły także władze akademickie, które nie potrafiły lub nie chciały dyscyplinować studentów. Broniąc autonomii uczelni, nie wzywano policji, pozwalano na przemoc, a jednocześnie rozgrywano własne gry polityczne, np. z obawy przed autorytaryzmem sanacji. Przemoc na Uniwersytecie Warszawskim w latach 30. nie była zjawiskiem incydentalnym. Rozwijala się stopniowo i rosła, atakowani byli studenci żydowscy, atakowani byli profesorowie. W październiku 1933 r. w siedzibie Bratniej Pomocy padły pierwsze strzały rewolwerowe podczas starcia między rywalizującymi organizacjami studenckimi. Trzy lata później, w listopadzie 1936 r., studenci żądający wprowadzenia getta ławkowego zorganizowali strajk okupacyjny, doszło do blokady Auditorium Maximum – gmach stał się twierdzą nacjonalistycznych studentów i został odbity dopiero nocą przez specjalny oddział policji. Na innych uniwersytetach działo się podobnie, a we Lwowie w 1938 r. zginęło trzech studentów żydowskich po pobiciu. Pamiętamy o tym wybiórczo, zwalamy winę na niewielką grupę prowodyrów.

Staramy się nie wiedzieć i nie pamiętać?

Owszem, trzy lata temu na Uniwersytecie Warszawskim zawiązała tablica poświęcona gettu ławkowemu i jego ofiarom, ale jest ona listkiem figowym. Jest niewidoczna – symbolicznie i dosłownie. W tym samym czasie portret rektora Włodzimierza Antoniewicza, który podpisał zarządzenie o wprowadzeniu getta ławkowego, wisi bez komentarza w poczcie rektorów. Cieszy mnie jednak ogromnie, że powstał kurs dla studentów poświęcony dyskryminacji i historii getta ławkowego, kurs jest jednak online i dobrowolny. Ta historia wciąż sprawia problemy. Co więcej, bywa instrumentalnie wykorzystywana. Choćby w kontekście protestów palestyńskich, kiedy władze rektorskie zasłaniały się faktem, że „u nas studiowało tylu studentów żydowskich”, by uzasadnić zakaz protestów i jednocześnie dowodzić, że uniwersytet nie może być antyżydowski. To jest manipulacyjne używanie przeszłości. Dlatego uważam, że książka – również dzięki swojemu porównawczemu wymiarowi – jest wezwaniem do krytycznej refleksji nad przemocą, radykalizmem i mechanizmami wykluczenia jako takimi, a nie tylko nad jednym, zamkniętym epizodem historycznym czy jednym państwem. Jest wezwaniem do pamięci, ale nie jest prostym aktem oskarżenia ani publicystycznym komentarzem do bieżącej polityki.

Ale uważa pani, że zmierzamy dziś w podobnym kierunku? Chciałabym, żeby ta książka zwróciła uwagę na rolę kryzysu. W polskiej

refleksji historycznej dwudziestolecie międzywojenne rzadko postrzegane jest jako okres kryzysowy. Myślmy o nim raczej jako o złotym czasie: rozwoju kultury, odbudowy państwa, modernizacji. Tymczasem te kryzysy były realne i nakładały się na siebie. Owszem, budowano Gdynię, ale jednocześnie mieliśmy do czynienia z ogromnym bezrobociem, z tendencjami autorytarnymi, z przyspieszoną modernizacją technologiczną, co jest niezwykle aktualne także dziś. Taka sytuacja kryzysowa i lęk o przyszłość sprzyjają postawom wykluczającym, budowaniu zamkniętych wspólnot i szukaniu prostych odpowiedzi na wielopiętrowe zagrożenia. Przykład uniwersytetów pokazuje, jak młodzież, która była patriotyczna i obywatelsko zaangażowana, opowiedziała się za najbardziej radykalnymi i wykluczającymi rozwiązaniami, bo bała się przyszłości, chciała zbudować silną wspólnotę i przezwyciężyć kryzys. Dziś również żyjemy w momencie kaskadujących kryzysów: zagrożenia bezpieczeństwa, niestabilności geopolitycznej, niepewności ekonomicznej i kryzysu klimatycznego. To wszystko może stać się paliwem dla radykalizmu i przemocy. I to nie jest tylko polski problem. W Austrii, Niemczech, Stanach Zjednoczonych też widzimy dziś wzrost radykalizmu pravicowego. Chciałabym, żeby ta książka pokazała, że jest to droga donikąd – i że taki radykalizm może stanowić realne zagrożenie także dla suwerenności państwa. W 1939 r. polskie społeczeństwo było głęboko podzielone. Na uniwersytetach – do samego końca – bito Żydów, atakowano socjalistów, odmawiano współpracy. To osłabiało zdolność wspólnoty do działania ramię w ramię w obliczu realnego zagrożenia. Podobnie w Austrii: to uproszczenie, że wszyscy pravicowi studenci zostali nazistami. Oczywiście, popularność nazizmu wśród młodzieży akademickiej i profesorów była bardzo duża, w czasie wojny dopuścili się zbrodni. Jednak wielu katolickich działaczy wspierało reżim Engelberta Dollfussa, próbujący budować austriacki patriotyzm i opierać się III Rzeszy. Ale było to społeczeństwo skrajnie spolaryzowane, z osłabioną zdolnością do oporu. W 1938 r. większość Austriaków poparła Anschluss nie dlatego, że byli urodzonymi nazistami. Po prostu czuli, że kadłubowe państwo austriackie nie daje im ani bezpieczeństwa, ani poczucia przynależności. To wszystko pokazuje, jak bardzo poczucie zagrożenia, polaryzacja i radykalizacja osłabiają wspólnotę polityczną i jej odporność. I to jest, moim zdaniem, najważniejsza lekcja, jaką ta historia może nam dziś dać. ©



Izabela

Mrzygłód

historyczka, redaktorka, adiunktka w Instytucie Sławiści Polskiej Akademii Nauk



FOT. NAC

Wizyta Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych RP generała Edwarda Rydza-Śmigłego we Francji. Sierpień 1936 r.

Sojusz na kredyt

Umowa z Rambouillet przyniosła Polsce nie tylko ogromną pożyczkę, lecz także odnowienie sojuszu z Francją

Andrzej

Krajewski

Program SAFE, czyli Finansowy Instrument Zwiększenia Bezpieczeństwa Europy, nie tylko w Polsce wywołał spory polityczne. Kontrowersje pojawiły się również we Francji oraz w Wielkiej Brytanii. Przeciwno ograniczeniu możliwości kupowania broni poza Unią za fundusze SAFE zaprotestowali dwaj amerykańscy ambasadorowie przy UE i NATO: Andrew Puzder i Matthew Whitaker. Nerwowość jest o tyle zrozumiała, że w historii zaciąganie wielkich pożyczek często miało daleko idące konsekwencje.

Relacje na włosku

„Z perspektywy minionego czasu i w świetle późniejszych wydarzeń nie da się zaprzeczyć, że słusznie przewidywali ci spośród nas, którzy uważali dzień 7 marca 1936 r. za przełomowy moment w polityce europejskiej, za fatalną datę dla Francji i jej ostatnią utraconą szansę” – zanotował Leon Noël w książce „Agresja niemiecka na Polskę”. Francuski ambasador z niepokojem obserwował nastroje w Warszawie po wkroczeniu wojsk niemieckich do Nadrenii. Pomimo naruszenia postanowień traktatu wersalskiego francuska armia pozostała w koszarach, a rząd w Paryżu ograniczył się do protestów na forum Ligi Narodów. Józef Beck, który dotąd dekla-

rował bezwarunkowe wypełnianie umowy sojuszniczej z 1921 r., zaczął okazywać coraz większą sympatię Berlinowi. „Nie chciał ryzykować utraty z trudem zdobytej dobrej pozycji wobec Niemiec. Uznał zatem, iż nie ma powodu czynić pustych demonstracji na rzecz Francji” – pisze w książce „Wrzesień 1939. Nowe spojrzenie” Grzegorz Górski.

III Republika nie potrafiła przezwyciężyć kryzysu politycznego. Odała Nadrenię walkowerem, choć jej przewaga militarna była wówczas olbrzymia. „Gdyby w tym momencie na czele Francji stał wielki mąż stanu, zrozumiałby to niewątpliwie” – wzdychał po latach ambasador Noël.

Rządem kierował wówczas uznawany za tymczasowego premiera Albert Sarraut. Polski minister spraw zagranicznych Beck – jak pisze Górski – nie ukrywał swojej niechęci do Francji. Domagał się, by Paryż traktował Warszawę jako równego partnera, sugerując, że w przeciwnym razie poszuka innego sojusznika. Miał już chętnego. „Późną zimą i wiosną 1936 r. strona polska otrzymała wiele niemieckich ofert na sprzęt wojskowy, głównie artylerię” – podkreśla w artykule „Droga do Rambouillet:

zabiegi o francuski kredyt zbrojeniowy na modernizację Wojska Polskiego” Wojciech Mazur. Zawiadujący gospodarką III Rzeszy prezes Reichsbanku Hjalmar Schacht obiecywał Polakom, że jeśli kupią niemiecką broń za udzielony przez niego kredyt, to odblokuje też należne im pieniądze za tranzyt kolejowy przez Pomorze Gdańskie.

Na wieść o tej propozycji Noël wściekł się na Becka, a jednocześnie odnotował z niepokojem, że jego kraj mocno stracił w oczach opinii publicznej nad Wisłą. „Nikła mniejszość, która nas nie lubiła, cieszyła się z tego niezmiernie” – pisał. „Natomiast przyjaciele Francji byli zgnębieni naszą rezygnacją (z Nadrenii – red.), byli rozczarowani i pełni niepokoju o przyszłość” – dodawał ambasador. Uważał, że Paryż musi szybko wykonać jakiś spektakularny ruch, żeby odwrócić niebezpieczny trend i mocniej związać Polskę z III Republiką. Okazja ku temu właśnie się nadarzyła.

Zbrojenia na już

Generał Edward Rydz-Śmigły, który objął funkcję Generalnego >

Inspektora Sił Zbrojnych po śmierci Józefa Piłsudskiego, doszedł do wniosku, że polska armia wymaga modernizacji i rozbudowy, jeśli nie chce zostać przytłoczona przez zbrojące się na potęgę Niemcy i ZSRR. „Specjalne ekipy oficerów, powoływanych przez szefa Sztabu Głównego, opracowały w szybkim tempie całokształt planu rozbudowy armii, wzorując się na ówczesnym stanie armii obcych, a w szczególności armii niemieckiej i rosyjskiej” – wspominał płk Józef Wiatr. Komitet do Spraw Uzbudowania i Sprzętu (KSUS) przełożył postulaty na konkretne kwoty. „Pierwsze prognozy zapotrzebowania finansowego na poczet – jak początkowo przewidywano – 4-letniego planu inwestycyjnego, zgłoszone przez Sztab Główny w 1936 r., oscylowały wokół kwoty 5,6 mld zł” – pisze Daniel Koreś w artykule „Komitet do Spraw Uzbudowania i Sprzętu a przygotowania Wojska Polskiego do wojny, 1935–1939”. Dla państwa, którego roczne dochody budżetowe zamykały się w kwocie ok. 2 mld zł, była to astronomiczna suma. Sanacyjne rządy dbały o równowagę finansów publicznych i nikt nie brał pod uwagę emisji pustego pieniądza.

Możliwości zadłużania się kraju były ograniczone, a podniesienie podatków – mało prawdopodobne. Pozostawał więc kredyt zagraniczny. W początkach II Rzeczypospolitej jego zdobycie graniczyło jednak z cudem. Pomimo olbrzymich wysiłków w latach 20. rządowi udało się dostać od zagranicznych instytucji finansowych, przedsiębiorców i innych państw zaledwie kilka pożyczek – do tego obwarowanych surowymi warunkami i zaporowym oprocentowaniem. Jeszcze trudniej było po wybuchu wielkiego kryzysu, któremu towarzyszył olbrzymi spadek dochodów budżetowych. „Wobec (...) obowiązującej wówczas na giełdach w Nowym Jorku, Paryżu i Londynie zasady, że w Europie Środkowo-Wschodniej nie udziela się kredytów finansowych, lecz tylko kredyty polityczne, wszczęto intensywne zabiegi dyplomatyczne o uzyskanie pożyczki tego typu, skierowane do rządów największych mocarstw” – pisze w artykule „Pożyczka Rambouillet z 1936 roku na cele dozbrojenia Polski” Jakub Skiba. „Szczególnie aktywnie o uzyskanie państwowej pożyczki o charakterze generalnym (obejmującej wymiar finansowy, zbrojeniowy i ogólnogospodarczy) zabiegał pułkownik Adam Koc, który pełnił funkcję wiceministra skarbu od grudnia 1930 roku do grudnia 1935 roku (...) jednak na tym etapie jego wysiłki okazywały się bezowocne” – dodaje Skiba. Tymczasem Niemcom i Związkowi Radzieckiemu funduszy nie brakowało. Sytuacja II RP stawała się dramatyczna, ale strach zaczął też narastać w Paryżu.

Pieniądz polityczny

„Po katastrofalnej klęsce, jaką była remilitaryzacja Nadrenii, w świadomości francuskich kół wojskowych pojawiła się myśl, iż Polska jest tym państwem, bez którego zaangażowania

W marcu 1936 r. Kwiatkowski rzucił generalicji pomysł, by zaciągnąć kredyt wojskowy od Francji, a połowę uzyskanej sumy przeznaczyć na budowę zakładów zbrojeniowych

nie będzie możliwe stworzenie frontu wschodniego, gdyby doszło do wojny w Europie w rezultacie niemieckich działań agresywnych, zwłaszcza zaś w sytuacji, kiedy te ostatnie mogłyby skierować się najpierw na zachód” – twierdzi Marek Kornat w monografii „Polityka zagraniczna Polski 1938–1939”.

W maju 1936 r. nad Sekwaną doszło do zwrotu politycznego. Wybory wygrał stworzony przez socjalistów i komunistów Front Ludowy. Na czele nowego rządu stanął znany z lewicowych przekonań Leon Blum. Wedle wspomnień Noëla sojusz polsko-francuski zawiął wtedy na włosku. „Komunizm był u naszych sojuszników na indeksie, obawiano się go bardziej niż czegokolwiek innego. Fakt, że we Francji po raz pierwszy w jej historii na czele rządu stanął Semita, był dla Polaków, najprzychylniej usposobionych dla naszego kraju, czymś skandalicznym. Ruchy społeczne, strajki, pojawienie się czerwonego sztandaru na murach fabryk i budowli, co miało miejsce przed i zaraz po utworzeniu nowego rządu francuskiego, wywoływało zaniepokojenie i łatwe do odgadnięcia komentarze w Warszawie” – odnotował Noël. Ale nie dało się ignorować faktu, że potencjał finansowy i militarny republiki był wielokrotnie większy niż biednej II Rzeczypospolitej.

W grę wchodziły również inne czynniki. Pomimo światowej zapasicy gospodarczej Bank Polski utrzymywał parytet złota, by stabilizować kurs złotych. Jednak wiosną 1936 r., kiedy kryzys już wygasał, doszło do załamania. Broniąc kursu złotego, Bank Polski szybko tracił rezerwy cennego kruszcu. Gdy uszczupliły się one o 57 mln zł, za namową ministra skarbu Eugeniusza Kwiatkowskiego prezydent Ignacy Mościcki wydał dekret o obrocie dewizowym, który zawiesił wymienialność złotych na złoto oraz przyznał władzom prawo ścisłego nadzorowania obrotu walutami innych krajów. Ustabilizowało to sytuację, ale nad II RP zawiśła groźba utraty płynności finansowej. Rząd nie zamierzał luzować dyscypliny budżetowej, więc jedynie zagraniczne kredyty mogły przywrócić obieg pieniądza do równowagi. Pożyczka zbrojeniowa byłaby do tego znakomitym narzędziem. Kwiatkowski planował też wykorzystanie jej do rozkręcenia koniunktury gospodarczej. Minister skarbu, a zarazem wicepremier, marzył o zbudowaniu nowego okręgu przemysłowego na południu Polski – nad swoją koncepcją pracował

od ośmiu lat. Brakowało mu tylko funduszy. Do swojego planu przekonał wkrótce prezydenta Mościckiego i premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego.

W marcu 1936 r. Kwiatkowski rzucił generalicji pomysł, by zaciągnąć kredyt wojskowy od Francji, a połowę uzyskanej sumy przeznaczyć na budowę nowych zakładów zbrojeniowych. Po remilitaryzacji Nadrenii szef Sztabu Generalnego gen. Waław Stachiewicz przekazał ambasadorowi Noëlowi notę z pytaniem o możliwość udzielenia pożyczki w wysokości 2 mld franków. Proponowano podzielić ją – jak pisze Jakub Skiba – „na dwie równe części: kredyt na zakupy materiałowe we Francji oraz pożyczkę gotówkową na rozbudowę polskiego przemysłu zbrojeniowego wraz z zakupem w Polsce materiałów do rozwinięcia miejscowej produkcji”.

Z nienawiści do Becka

Wezwany do Paryża Noël zreferował premierowi Leonowi Blumowi i ministrowi obrony narodowej Édouardowi Daladierowi kluczowe problemy w relacjach z Polską. Podobnie jak francuska generalicja opowiedział się za udzieleniem pożyczki Warszawie. „Jednakże doświadczenie zdobyte w ciągu roku spędzonego w Polsce skłoniło mnie do zaproponowania rządowi, aby uzależnił udzielenie tej pomocy od dwóch warunków: jednego natury technicznej, a drugiego politycznej” – zanotował Noël. Zaproponował, aby postawić Polakom taki warunek: cała kwota kredytu ma być przeznaczona na zakup uzbrojenia francuskich firm. „Dругa gwarancja, której absolutną konieczność podkreślałem, miała jeszcze bardziej zasadniczy charakter: dotyczyła ona płk. Becka. Po wszystkich zawodach, na jakie naraziło nas jego postępowanie i w związku z niepokojem, który budziła jego przychylność dla Niemiec, wydawało mi się rzeczą niemożliwą pomagać Polsce w rozbudowie jej potencjału wojennego, dopóki Beck będzie nieograniczonym panem jej polityki zagranicznej” – wspominał ambasador.

Po powrocie do Warszawy Noël zaczął knuć intrygę, by skłócić zniechęconego Becka z Rydzem-Śmigłym: zaprosił generała do złożenia wizyty we Francji, na której doszło do podpisania umowy kredytowej. Zgodnie z planem negocjowanie warunków i odnowienie sojuszu polsko-francuskiego odbyło się z ostentacyjnym pominięciem ministra Becka. Ambasador zamierzał też przekonać Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, by doprowadził do wymiany szefa MSZ. „Sugerowałem więc rządowi – red.), aby oświadczył naczelnemu wodzowi armii polskiej, co następuje: «Rząd francuski jest gotów wam pomoc, lecz wiadomo panu, że – słusznie czy nie – Francuzi nie mają zaufania do Becka. Obawiamy się więc, że dopóki w jego rękach spoczywać będzie teka ministra spraw zagranicznych, parlament i opinia francuska zajmą oporne stanowisko

wobec udzielenia Polsce poważniejszej pożyczki»”.

Misterny plan spalił na panewce, bo Beck miał szeroką sieć kontaktów w Paryżu. Ale na wszelki wypadek wymienił w lipcu 1936 r. ambasadora we Francji – kierowanie placówką przejął jego zaufany współpracownik Juliusz Łukasiewicz. „Nagle dowiedziałem się w pierwszym dniach sierpnia (1936 – red.) ze zdziwieniem, że gen. Gamelin ma przybyć za kilka dni do Warszawy pod pretekstem, że wypada, aby osobiście zaprosił swego polskiego kolegę (Rydz-Śmigłego – red.), co przecież zostało uczynione od dawna oficjalnie za moim pośrednictwem, oraz dla odbycia z nim pierwszej serii rozmów. Był to błąd” – zanotował Noël. Intryga się posypała. Premier Blum i minister Daladier uznali, że ratowanie więzów z Polską jest ważniejsze, i zrezygnowali z próby usunięcia Becka. Podejmowany z honorami godnymi głowy państwa Rydz-Śmigły spotkał się z premierem Blumem, prezydentem III Republiki Albertem Lebrunem i ministrem spraw zagranicznych Yvonem Delbossem w Château de Rambouillet pod Paryżem, gdzie uzgodnili ostateczną kwotę i warunki pożyczki. „W ich rezultacie układ płaćniczy, podpisany w Rambouillet 7 września 1936 r., przyniósł Polsce kredyt zbrojeniowy w wysokości 2 mld franków – największy, jaki otrzymała za granicą II Rzeczypospolita” – pisze Marek Kornat. Tak jak chciała Warszawa, „połowę stanowił kredyt gotówkowy, drugą – «materiałowy». Umowę zawarto bez żadnych dodatkowych warunków politycznych, co w optyce polskiej miało duże znaczenie” – dodaje Kornat.

Zaciągnięcie tak olbrzymiego kredytu (ok. 600 mln ówczesnych złotych) musiał jeszcze zatwierdzić francuski parlament. Za radą ekonomisty Jacquesa Rueff'a część pożyczki (400 mln franków) formalnie przekazywano polsko-francuskiemu Towarzystwu Kolejowemu, które odpowiadało za budowę magistrali węglowej z Górnego Śląska do Gdyni. Polski rząd zobowiązywał się do przekazania takiej samej kwoty. Dzięki temu Towarzystwo Kolejowe mogło wznowić wstrzymaną z braku funduszy inwestycję. „Instrument ten był znakomitym sposobem uzyskania nad Sekwaną poparcia dla udzielonej Polsce pożyczki” – podkreśla Jakub Skiba. „Korzyść strony polskiej była dwojaka: po pierwsze uzyskano środki na dokończenie najważniejszego strategicznie szlaku komunikacyjnego w Polsce, omijającego Niemcy i umożliwiającego przewóz eksportowanych kopalni ze Śląska do portu w Gdyni (...), i po drugie – złagodzone nacisk na dokonywanie zagranicznych transferów dewizowych ze strony Francji, jednego z największych wierzycieli Polski” – dodaje.

Ponieważ od francuskiej pożyczki zależały nie tylko inwestycje zbrojeniowe, lecz także plany budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego, pomysły zerwania sojuszu z Paryżem stały się mrzonką. Noël i Beck mogli dalej paść do siebie nienawistą, ale przyjaźń obu państw znów rozkwitła. ©

Porwać się na Historię

Od tysięcy lat uprowadzenia stanowią stały element wojny i polityki. Służą wywieraniu presji, wymierzaniu sprawiedliwości i... zaspokajaniu ambicji

Sebastian

Pawlina

Ta noc miała zmienić historię Polski. Założono, że wojsko i ludność porwane przez zryw Szkoły Podchorążych przejmą Warszawę, rozbiją stacjonujące w niej oddziały rosyjskie, a entuzjizm rozleje się na resztę kraju. Ale nic nie poszło, jak należy. Pierwsza zawiodła koordynacja działań. Spiskowcy nie potrafili sprawnie przekazać sobie umówionych sygnałów. Gdy udało się ruszyć do walki, okazało się, że ani mieszkańcy, ani wyżsi oficerowie nie są zainteresowani dołączeniem do rewolucji. Tych pierwszych w końcu zachęcono do pomocy, ale ci drudzy czasami jej odmawiali. Wściekli na nich powstańcy kilku zabili, a zryw wyhamował, zanim miał szansę na dobre się rozpedzić. Było coś, co w tych pierwszych godzinach i dniach mogło go uratować. Porwanie wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza Romanowa.

W zależności od relacji do tego zadania wyznaczono 30–50 osób. Ciemność, która potęgowała ich strach, obecność oddziałów wroga i brak doświadczenia (w większości byli to bowiem cywile) sprawiły, że oddział stopniał do 18 ludzi. Historia zapamięta ich jako Belwederzyków. Uzbrojeni w karabiny, pistolety i sztylety ruszyli podzieleni na dwa oddziały. Jeden pod Belweder, w którym mieszkał Konstanty, miał podejść od strony ogrodu, a drugi – od frontu. W nim znalazł się poeta Seweryn Goszczyński. W sporządzonej później relacji napisał, że idąc wzdłuż ogrodzenia, spotkali strażnika, „weterana moskiewskiego”. Któryś z Polaków zapytał go, czy wielki książę jest w domu. Mężczyzna odparł, że tak, po czym schował się do budki wartowniczej.

Nagle od strony ogrodu padły strzały. Po chwili kolejne, od pobliskich koszar – tam podchorążowie starli się z rosyjską jazdą. Oddział z Goszczyńskim rzucił się pędem przed siebie. Krzyżąc „śmierć tyranom”, wpadli w bramę prowadzącą na dziedziniec, a stamtąd do budynku. Rozbiegli się po nim, szukając carskiego brata, ale ten dzięki

pomocy kamerdynera zdołał się ukryć, nie w niewieścim przebraniu, jak chce legenda, tylko w pokoiku na strychu. W tym samym czasie na niższych piętrach służba krzyczała i biegała, Belwederzy biegali i krzyczeli. Padło kilku zabitych i rannych, w tym znenawidzony szef tajnej policji, gen. Aleksiej Gendre. W końcu porywacze in spe, bojąc się, że Rosjanie przybędą z odsieczą, wycofali się.

Wacław Tokarz, historyk powstania listopadowego, napisze później, że pojmanie lub zabicie Konstantego sprawiłyby, że politycy i wyżsi dowódcy Królestwa Polskiego nie mieliby możliwości negocjacji z carem. Dzięki temu być może szybciej podjęliby decyzję o przygotowaniu się do walki z Rosją. Czas, który został wtedy zmarnowany, zawążył na niepowodzeniu zrywu.

Porwanie króla Stanisława Augusta

Urowadzenie od wieków stanowiło element nacisku. Królowie i książęta, sięgając po nie, chcieli nie tylko uzyskać korzyści finansowe, lecz także, a może przede wszystkim, wymóc na wrogach uległość. Porwanie czyjegoś syna czy żony i trzymanie ich w roli zakładników zazwyczaj było lepszym pomysłem niż wszczynanie wojny. Ale również sami władcy stawali się niekiedy celami porywaczy.

29 lutego 1768 r. w Barze (obecnie miasto w Ukrainie) zawiązano konfederację barską. Jej twórcy za cel wzięli sobie uwolnienie Rzeczypospolitej spod rosnących wpływów rosyjskich. Ich przeciwnikami byli caryca Katarzyna II oraz król Stanisław August Poniatowski. W październiku 1770 r. konfederaci ogłosili akt jego detronizacji i bezkrólewia. Mieli nadzieję namówić jednego z europejskich władców na to, aby przyjął koronę Polską. Ich zabiegi były bezskuteczne. Żeby urealnić składaną przez siebie ofertę, zdecydowali się na porwanie króla.

Decyzja zapadła w październiku 1771 r. Przywódcy zrywu, uznawanego niekiedy za pierwsze polskie powstanie narodowe, na wykonawcę zadania wskazali Kazimierza Pułaskiego, pełniącego wówczas funkcję komendanta twierdzy w Częstochowie. Plan był pozornie prosty. Niewielka grupa konfederatów miała porwać Stanisława Augusta w Warszawie, a następnie wywieźć go na Jasną Górę. Żeby im to ułatwić, ludzie Pułaskiego, wsparci oddziałami z Wielkopolski, mieli odciągnąć wojska rosyjskie, pozostawiając porywaczom wolną drogę do celu.

Wykonawcy akcji zebrali się 31 października w Małej Wsi, na północny za-

chód od Warszawy. Tam, jak w książce „Król porwany, czyli «Boskiej Opatrzności dowód oczywisty»” podaje historyk Piotr Ugniewski, złożyli przysięgę, że dochowają tajemnicy. Miało to zwiększyć ich poczucie bezpieczeństwa na wypadek wpadki któregoś z nich. W tamtych czasach antyczne wzorce były znane i lubiane. Nie możemy więc wykluczyć, że znali opowieść o piratach, którzy porwali 25-letniego Juliusza Cezara. Dostali za niego spory okup, ale przyszły władca Rzymu szybko się zemścił. Złapał ich, a potem ukrzyżował. Aktem łaski z jego strony było poderżnięcie wszystkim gardeł, żeby krócej się męczyli.

Konfederaci do Warszawy dojechali 2 listopada. Następne 24 godziny poświęcili na sprawdzenie miejsca, w którym chcieli zatrzymać władcę, i zorientowanie się, jak dużo jest patroli rosyjskich. Były w tym zaczątki późniejszych, profesjonalnych operacji. Oddział podzielo-

no na trzy części. Pierwsza miała zablokować drogę karecie, druga wyciągnąć z niej króla, a trzecia zapewnić wszystkim możliwość sprawnego ucieczki.

Wieczorem 3 listopada byli gotowi. Powóz zatrzymali na ul. Miodowej. Po krótkiej potyczce z królewską służbą złapali Stanisława Augusta, wsadzili na koń i czym prędzej odjechali. Udało im się wydostać poza Warszawę, ale tutaj zaczęły się kłopoty. Najpierw koń złamał nogę, a sam monarcha stracił płaszcz oraz jeden trzewik – podarowano mu więc wojskowy but. W ciemnościach i wśród gęsto rosnących zarośli oddział rozpadał się na coraz mniejsze grupki, aż w końcu z władcą został tylko jeden z uczestników akcji, Jan Kuźma. Poniatowskiemu udało się przekonać go, że jeśli pozwoli mu wrócić do miasta, to okaże mu łaskę. Nie bez znaczenia dla Kuźmy był również argument, że wierność królowi jest >

OGŁOSZENIE



ANNOUNCEMENT OF TRANSFER OF RIGHTS AND OBLIGATIONS CONCERNING PORTFOLIO TRANSFER BETWEEN ALLIANZ RISK TRANSFER AG AND ALLIANZ GLOBAL CORPORATE & SPECIALTY SE

Observing the publicity requirements relating to portfolio transfers, in particular the Polish Act on the business of insurance and reinsurance of 11 September 2015 (Ustawa z dnia 11 września 2015 r. o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej), Article 219, Allianz Risk Transfer AG, established in Im alten Riet 102, 9494 Schaan, Liechtenstein, hereby informs interested parties that it intends to transfer its rights and obligations under or pursuant to the following non-life insurance contracts with the consent of Polish Financial Supervision Authority (Urząd Komisji Nadzoru Finansowego (UKNF)), granted on 19 January 2026, to Allianz Global Corporate & Specialty SE, an insurance company incorporated in Germany and whose registered office is at Koeniginstraße 28, 80802 Munich, operating in freedom of establishment through its Belgian Branch located at Uitbreidingstraat 86, 2600 Berchem, Belgium.

The transfer referred to in paragraph 1 relates to non-life insurance contracts that belong or belonged to the direct insurance business conducted by Allianz Risk Transfer AG.

In accordance with applicable Polish regulatory requirements, the policyholders concerned may cancel their non-life insurance policy in writing within three months of the date of this publication.

The transfer will take effect for all interested parties on 28 February 2026.

OGŁOSZENIE O PRZENIESIENIU PRAW I OBOWIĄZKÓW ZWIĄZANYCH Z PRZENIESIENIEM PORTFELA UBEZPIECZEŃ POMIĘDZY ALLIANZ RISK TRANSFER AG A ALLIANZ GLOBAL CORPORATE & SPECIALTY SE

Zgodnie z wymogami dotyczącymi jawności w zakresie przeniesienia portfela ubezpieczeń, w szczególności art. 219 ustawy z dnia 11 września 2015 r. o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej, Allianz Risk Transfer AG z siedzibą w Im alten Riet 102, 9494 Schaan, Liechtenstein, niniejszym informuje zainteresowane strony, że zamierza przenieść swoje prawa i obowiązki wynikające z umów ubezpieczeń innych niż na życie za zgodą Komisji Nadzoru Finansowego (KNF), udzieloną w dniu 19 stycznia 2026 r., na rzecz Allianz Global Corporate & Specialty SE, spółce ubezpieczeniowej zarejestrowanej w Niemczech, z siedzibą pod adresem Koeniginstraße 28, 80802 Monachium, działająca na podstawie swobody przedsiębiorczości za pośrednictwem belgijskiego oddziału zlokalizowanego pod adresem Uitbreidingstraat 86, 2600 Berchem, Belgia.

Przeniesienie, o którym mowa powyżej, dotyczy umów ubezpieczeń innych niż na życie, które należą lub należały do bezpośredniej działalności ubezpieczeniowej prowadzonej przez Allianz Risk Transfer AG.

Zgodnie z obowiązującymi polskimi wymogami regulacyjnymi, zainteresowani ubezpieczający mogą wypowiedzieć swoją umowę ubezpieczenia innego niż na życie w formie pisemnej w terminie trzech miesięcy od daty niniejszej publikacji.

Przeniesienie wejdzie w życie dla wszystkich zainteresowanych stron z dniem 28 lutego 2026 r.

istotniejsza od wierności konfederatom.

Na nieudanej akcji najbardziej skorzystał Stanisław August, który, jak stwierdza Ugniewski, zbudował na tym wydarzeniu „wielką kampanię propagandową. Kluczową rolę w tej relacji odgrywał wybawca króla – Kuźma. W jego postaci można dostrzec symbol przeciętnego konfederata, uwiedzionego przez przywódców, których uosabiał Kazimierz Pułaski. Przyszłe, zapowiedziane w tej opowieści ustami króla, dobro ojczyzny mogłoby więc polegać na «otrzeźwieniu» skonfederowanego narodu pod wpływem wieści o zamachu».

Sam Kuźma nie wyszedł na tej historii źle. Choć został skazany przez sąd sejmowy na wieczną banicję, to podczas przymusowego pobytu we Włoszech utrzymywał się z pensji, którą przyznał mu sam Poniatowski. Do Polski wrócił w 1804 r. Osiadł w Warszawie, gdzie spędził resztę życia.

Pozostałych uczestników i propagatorów porwania, w tym Pułaskiego, też skazano. Większość zaocznie, udało im się bowiem uciec. Dwóch zmarło w więzieniu, a kolejnych dwóch ścięto niedaleko miejsca porwania. Żeby scenie nadać dodatkowego waloru odstrasżającego, jednego z nich poćwiartowano.

Liczą się plan i elastyczność

Rozwój struktur społecznych sprawił, że porwania stały się niebezpieczne również dla porywających. Nowożytne państwa dysponowały coraz skuteczniejszymi sposobami ochrony ważnych osób. Nie tylko monarchów, lecz także polityków czy dowódców wojskowych. Teraz, chcąc uprowadzić kogoś istotnego, należało skorzystać z usług specjalistów, choć i im nie zawsze się udawało.

W 1941 r., gdy Niemcy ciągle byli stroną przeważającą w wojnie, Brytyjczycy zdecydowali się na porwanie gen. Erwina Rommla. Nie tylko był jednym z najpopularniejszych dowódców w III Rzeszy, lecz także od początku tego roku dowodził niemieckim korpusem ekspedycyjnym, który osiągał duże sukcesy w Afryce. Postępy oddziałów Rommla zaczęły zagrażać polom naftowym nad Zatoką Perską. Usunięcie dowódcy, który nie po raz pierwszy wykazywał się wyjątkowymi umiejętnościami, Londynowi wydawało się koniecznością.

Do wykonania zadania wybrano 59 komandosów, w tym sześciu oficerów. Łodziami podwodnymi przetransportowano ich w pobliże wybrzeża Libii, na którym wysiedli 14 listopada. Kiepskie warunki pogodowe sprawiły, że udało się to zaledwie połowie z nich. Żeby zwiększyć swoje szanse na sukces, ograniczyli, również o połowę, liczbę zadań do wykonania. Pozostawili jednak główny punkt, czyli dopadnięcie Rommla. W zależności od sytuacji mieli go albo porwać, albo zabić.

Wykonawcy głównego punktu planu dotarli na miejsce i w nocy z 17 na 18 listopada ruszyli do akcji. Zeszli z gór, w których się ukrywali, i zaatakowali budynek, w którym zgodnie z otrzymanymi informacjami powi-



FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Grafika „Porwanie Stanisława Augusta, króla polskiego” (po 1771 r.)

nien się znajdować generał. Wdarli się do środka, ale tylko na chwilę. Niemcy szybko ich odrzucili, a następnie ścigali tak długo, aż niemal wszystkich złapali. Również druga grupa dostała się do niewoli. Po wszystkim okazało się, że w noc ataku Rommla nie było na miejscu.

Kłęska ta dobitnie pokazała, że do porwania, szczególnie kogoś ważnego, niezbędny jest dobry plan. Takim dwa i pół roku później dysponował Patrick Leigh Fermor, podróżnik, a w czasie wojny agent Kierownictwa Operacji Specjalnych (ang. Special Operations Executive, SOE) i współtwórca ruchu oporu na Krecie. Na początku 1944 r. dostał rozkaz porwania z wyspy komendanta miejscowego garnizonu, gen. Friedricha-Wilhelma Müllera, który zasłynął stosowaniem terroru wobec Greków, czym zyskał sobie przydomek „Rzeźnik”.

W sobotę 5 lutego 1944 r. Leigh Fermor dotarł na Kretę, w ślad za nim, niewiele później, jego współpracownicy. Z miejsca wzięli się do pracy, zbierając informacje o tym, jak funkcjonował Müller, którędy jeździł, w jakiej obstawie, o której wyjeżdżał do pracy itd. Uznali, że akcję przeprowadzą, kiedy Niemiec będzie wracał do domu. Dzięki temu mieli szansę dopaść go na pustkowiu już po zmroku, co zwiększyło ich szanse. Kiedy szykowali się do wykonania zadania, „Rzeźnik” opuścił wyspę. W jego miejsce 1 kwietnia pojawił się gen. Heinrich Kreipe. Miał zupełnie inny styl zarządzania, m. in. starał się unikać przemocy. Ale dla agentów SOE było to bez znaczenia. Generał to generał. Efekt propagandowy byłby taki sam.

Pierwszą próbę uprowadzenia podjęli 24 kwietnia, ale Kreipe zmienił plany i nie pojawił się w oczekiwanym miejscu. Podobnie dzień później. 26 kwietnia Leigh Fermor ze swoimi ludźmi przygotowali się do trzeciego podejścia. Tym razem mieli szczęście. Potrzebowali zaledwie półtorej minuty, aby zatrzymać samochód, wyciągnąć generała, związać, ponownie wsadzić

do środka i odjechać. Bez niemieckiego kierowcy, którego Kreteńczycy niedługo później zamordowali.

Niemcy szybko się zorientowali, że ich dowódca został porwany, i zaczęli go szukać. Chcąc zmusić Greków do współpracy, wysiedlili mieszkańców kilku wsi, a ich domy zrównali z ziemią, ale nikt nie zamierzał wydać członków ruchu oporu odpowiedzialnych za akcję. Nienawiść do Niemców była silniejsza.

Zgodnie z pierwotnym planem ekipa Leigh Fermora miała się zjawić w konkretną noc na konkretnej plaży, skąd przysłana łodzią wszyscy odpłynęliby do Egiptu. Uniemożliwił im to niemiecki pościg. Musieli więc krążyć po górach, przenosząc się z miejsca na miejsce. Kolejne grupy partyzanckie przekazywały sobie opiekę nad nimi. Sprawiło to wrażenie, jakby cała Kreta była zaangażowana w porwanie Kreipego. To również była zasługa Fermora, który wiele czasu poświęcił wcześniej na zbudowanie zaufania do siebie wśród lokalnych społeczności.

Problem stanowił również brak sprawnej radiostacji. W tej, którą dysponowali, uszkodził się jeden z elementów. Zaczęli szukać innej, żeby za jej pomocą ustalić nowe miejsce i datę ewakuacji z wyspy. Udało się. 14 maja w nocy na plaży niedaleko Rodakino wsiedli do łodzi i odpłynęli do Egiptu.

Leigh Fermor udowodnił, że sukces akcji tak trudnej jak porwanie zależy od precyzyjnego planu, ale także od umiejętności reagowania na to, czego przewidzieć się nie dało. Z tej mądrości skorzystali uczestnicy chyba najśłynniejszego porwania w XX w.

Pan poleci z nami

„Życie anonimowego wędrowca krążącego między dwoma światami zaczyna mnie męczyć” – stwierdzał w swoich pisanach w 1959 r. notatkach Adolf Eichmann, zbrodniarz wojenny i główny koordynator planu „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej. Po wojnie uciekł do Argentyny, dokąd ściągnął później rodzinę. W Buenos Aires rozpoczął nowe, spokojne życie. Zaczął nawet budować dom. Neal Bascomb, autor „Wytropić Eichmanna”, uważa, że SS-man był pewien, „że pościgu za nim dawno już zaniechano i że nigdy nie będzie musiał stanąć

przed obliczem sprawiedliwości”. Stąd być może myśli takie jak ta zacytowana. Jednocześnie Eichmann stwierdzał: „z radością oddałbym się w ręce niemieckich władz, gdybym nie miał pewności, że mój naród ciągle jeszcze będzie zbyt zainteresowany politycznym aspektem całej sprawy, by dopuścić jasne, obiektywne rozwiązanie”. Ale to nie niemieckie władze chciały postawić go przed sądem.

W grudniu 1959 r. Iseer Harel, szef Mosadu, izraelskiej agencji wywiadu i akcji specjalnych, poinformował premiera Davida Ben Guriona, że Eichmann prawdopodobnie ukrywa się w stolicy Argentyny pod fałszywym nazwiskiem Ricardo Klement. Ben Gurion szybko podjął decyzję, że Harel ma przywieźć mu Niemca. Żywego. Skompletowano zespół, który miał się tym zająć, i wysłano go do Argentyny.

Pod koniec kwietnia 1960 r. agenci Mosadu zaczęli działać. Odnaleźli dom, w którym mieszkał Eichmann z rodziną, ustalili, gdzie pracuje, jaki jest jego program dnia, jakie ma przyzwyczajenia. Katalog wiadomości musiał być maksymalnie szczegółowy i obfity. Tylko to dawało nadzieję, że niespodzianek będzie jak najmniej. Ich przełożony w tym czasie szukał sposobu na dostarczenie zbrodniarza do Izraela. Drogi były dwie – morską i lotniczą. Bezpieczniejsza i szybsza była ta druga. Skontaktował się z dyrektorem El Al, izraelskich linii lotniczych. Ten był gotów do współpracy. Musieli tylko znaleźć dobry pretekst do wysłania samolotu do Ameryki Południowej, z którą nie mieli żadnych stałych połączeń. Takim stały się obchody 150-lecia niepodległości Argentyny. Jak pisze Bascomb, wydarzenie to miało zgromadzić delegację z całego świata, w tym z Izraela. Plan był więc prosty. Samolot El Al dostarczy oficjeli, a w drodze powrotnej zgarnie Eichmanna.

Po kilkunastu dniach obserwacji i dopracowywania szczegółów wyznaczono datę akcji – 11 maja. Wieczorem porywacze ustawili się niedaleko domu ofiary. Niemiec nie pojawił się jednak o godzinie, o której powinien wrócić z pracy. Agenci byli bliscy decyzji o wycofaniu się, gdy go zobaczyli. Jeden z nich, Peter Malkin, podszedł do Eichmanna. Gdy stał już obok, ich oczy się spotkały. Nazista się spiął. Chciał uciekać. Malkin błyskawicznie rzucił się na niego. Po krótkiej szarpaninie dołączyli do nich kolejni, a już po chwili byli w samochodzie. Trwało to łącznie 25 sekund. Przez kolejne kilka dni ukrywali się w przygotowanym wcześniej mieszkaniu.

22 maja znaleźli się w Izraelu. Dzień później Ben Gurion poinformował parlament, że „Adolf Eichmann przebywa obecnie w izraelskim więzieniu i wkrótce stanie w Izraelu przed obliczem sądu na mocy prawa o procesach nazistów i ich współpracowników”. Jego historia stała się impulsem do poszukiwania innych zbrodniarzy. Udowodniła również, że porwanie może być potężnym narzędziem. Trzeba tylko wiedzieć, jak go używać. W przeciwnym wypadku można skończyć jak Trojanie, którzy jeden kaprys przypłacili unicestwieniem. ©

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Bródno” w Warszawie – tradycja i nowoczesność w obliczu zmian 2026 roku



Spółdzielnia Mieszkaniowa „Bródno” to jedna z największych spółdzielni mieszkaniowych w Polsce, dom dla ponad czterdziestu tysięcy mieszkańców. Pod przewodnictwem Prezesa Sławomira Antonika organizacja łączy tradycję z nowoczesnym zarządzaniem, stawiając czoła wyzwaniom finansowym i nowym regulacjom prawnym obowiązującym od 2026 roku. Jak SM „Bródno” odnajduje się w nowej rzeczywistości i jakie cele wyznacza sobie na przyszłość?



Wielka spółdzielnia w sercu Targówek

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Bródno” obejmuje obszar ponad stu trzydziestu hektarów i zrzesza ponad dwadzieścia cztery tysiące członków. Jej struktura obejmuje cztery osiedla, a rola organizacji w lokalnym krajobrazie mieszkaniowym Warszawy jest ogromna. Zarząd pod przewodnictwem Prezesa Sławomira Antonika odpowiada nie tylko za codzienne utrzymanie budynków i infrastruktury, ale również za dialog z mieszkańcami, realizację inwestycji i zapewnienie transparentności decyzji. Jak podkreśla Prezes Sławomir Antonik, „*Nieustająca analiza i optymalizacja kosztów jest zadaniem kluczowym wobec drastycznie rosnących płacności niezależnych od spółdzielni oraz kosztów usług konserwacji*”. SM „Bródno” nie ogranicza się do administrowania nieruchomościami, lecz pełni funkcję integratora lokalnej społeczności, organizując wydarzenia kulturalne, akcje społeczne oraz wydając gazetę spółdzielczą, która informuje mieszkańców o ważnych sprawach i wydarzeniach.

Priorytety Spółdzielni Mieszkaniowej „Bródno”

Jednym z najważniejszych priorytetów spółdzielni jest uregulowanie stanu prawnego gruntów, które stanowią fundament dalszego rozwoju. *Tylko spółdzielnia może uzyskać prawo wieczystego użytkowania albo własności tych gruntów i to jest fundament naszych inwestycji i przyszłości* – wyjaśnia Sławomir Antonik. Jego zdaniem dopiero uporządkowanie kwestii własnościowych pozwala planować inwestycje i zabezpieczyć interesy mieszkańców na długie lata. SM „Bródno” była również wielokrotnie doceniana za jakość zarządzania, czego dowodem jest nagroda Grand Prix 15-lecia programu Dobra Spółdzielnia przyznana w 2025 roku. Nagroda ta jest uznaniem konsekwentnej pracy całego zarządu oraz zaangażowania mieszkańców w życie wspólnoty.

Finanse i dialog z mieszkańcami

Nie obywa się jednak bez trudnych tematów. Dyskusje wokół kosztów utrzymania oraz zmian



Sławomir Antonik,

prezes zarządu Spółdzielni Mieszkaniowej „Bródno” w Warszawie, jest licencjonowanym doradcą restrukturyzacyjnym. Ukończył Politechnikę Warszawską na Wydziale Inżynierii Materiałowej, a także zdobył dyplomy z zakresu zarządzania, prawa oraz prawa antykorupcyjnego. W przeszłości pełnił funkcję burmistrza dzielnicy Targówek oraz przewodniczącego rady nadzorczej SM „Bródno”.

opłat czynszowych pojawiają się regularnie. Prezes Sławomir Antonik podkreśla, że spółdzielnia działa zgodnie z procedurami i informuje członków o koniecznych decyzjach. *„Informacje o zmianach zostały przekazane członkom zgodnie z procedurami, a wzrost opłat wynika z realnych kosztów, jakie ponosimy w utrzymaniu zasobów”* – mówi. Część mieszkańców wyraża jednak niezadowolenie z komunikacji i transparentności procesów decyzyjnych, co jeszcze bardziej uwypukla potrzebę otwartego dialogu i edukacji członków w zakresie funkcjonowania spółdzielni.

Zmiany prawne 2026 roku

Rok 2026 przyniesie istotne zmiany w prawie spółdzielczym, które mają kluczowe znaczenie dla funkcjonowania wszystkich spółdzielni mieszkaniowych w Polsce. Nowelizacja ustawy o spółdzielniach mieszkaniowych, obowiązująca od 28 stycznia 2026 roku, wprowadza szereg regulacji mających na celu zwiększenie przejrzystości działań spółdzielni oraz wzmocnienie praw ich członków.

Najważniejsze zmiany dotyczą m.in. ograniczenia katalogu pełnomocników uprawnio-

nych do reprezentowania członków na walnym zgromadzeniu, co ma zapobiegać nadużyciom i zwiększyć bezpieczeństwo procedur decyzyjnych. Ponadto nowelizacja wprowadza wyraźne wzmocnienie pozycji sądowej członków spółdzielni, umożliwiając im skuteczniejsze dochodzenie swoich praw. Zmieniają się również zasady rozliczania lokatorskich praw do lokalu – nowe regulacje mają zapewnić większą przejrzystość i sprawiedliwość w rozliczeniach między spółdzielnią a jej członkami.

Nowością jest także możliwość prowadzenia działalności w zakresie najmu społecznego, co otwiera spółdzielniom nowe możliwości wsparcia lokalnego rynku mieszkaniowego i zwiększenia dostępności mieszkań dla osób o niższych dochodach. *„Prawo musi odpowiadać na współczesne wyzwania społeczności spółdzielczych. Transparentność, bezpieczeństwo lokatorów i solidne zarządzanie to fundamenty naszej pracy. Nowe przepisy dają nam szansę, by jeszcze skuteczniej chronić interesy naszych członków i zapewnić stabilne funkcjonowanie spółdzielni w dłuższej perspektywie.”* – podkreśla Sławomir Antonik.

Dostosowanie się do nowych wymogów prawnych stanowi jednak spore wyzwanie, zwłaszcza dla dużych spółdzielni takich jak SM „Bródno”, która zrzesza tysiące członków. Oznacza to konieczność m.in. aktualizacji procedur wewnętrznych, wprowadzenia bardziej sformalizowanego systemu zarządzania, a także intensyfikacji komunikacji z członkami spółdzielni. Prezes Antonik zaznacza, że mimo trudności, zmiany te są niezbędne dla zapewnienia przejrzystości działań oraz budowy zaufania między zarządem a mieszkańcami.

Ekspert podkreśla, że nowelizacja ustawy o spółdzielniach mieszkaniowych wpisuje się w szerszy trend modernizacji polskiego prawa spółdzielczego, w którym nacisk kładzie się na odpowiedzialność, transparentność i większą ochronę lokatorów. Dla mieszkańców SM „Bródno” oznacza to nie tylko bardziej bezpieczne zarządzanie, ale również większą możliwość uczestnictwa w podejmowaniu decyzji dotyczących ich własnych mieszkań.

Perspektywy na przyszłość

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Bródno” w 2026 roku stoi przed koniecznością równoważenia tradycji spółdzielczej z wymogami nowoczesnego zarządzania, które uwzględniają zmiany prawne i oczekiwania mieszkańców. Głęboko zakorzeniona w lokalnym środowisku i posiadająca bogatą historię, ma potencjał, aby stać się wzorem nowoczesnej spółdzielni w Polsce. Dzięki konsekwentnej pracy zarządu i aktywności społeczności lokalnej SM „Bródno” może kontynuować swoją misję, łącząc tradycję z innowacją i odpowiadając na potrzeby ponad czterdziestu tysięcy mieszkańców. *Naszym celem jest, aby każdy mieszkaniec czuł się bezpiecznie, a zarazem był częścią aktywnej społeczności. To dla nas najważniejszy wyznacznik sukcesu* – puentuje Sławomir Antonik.

Martyna Muszczak

<https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/>

Kultura

Bezkarna lista przebojów

Czy można zaśpiewać znaną piosenkę i udostępnić ją na Facebooku? Tak, w końcu wiele takich utworów trafia do sieci. Zwykle bez wiedzy i zgody twórców

Konrad

Wojciechowski

W internecie roi się od przygodnych wykonań popularnych piosenek. Grają i śpiewają amatorzy. Często są to próbki od aspirujących artystów, jak popis Mariusza Mrówki – uczestnika „The Voice of Poland”, który opublikował w internecie swoją wersję szlagieru T. Love „I Love You”. Muzyka brzmi jak w oryginale, tylko głos jest kompletnie inny.

Inny przypadek. Na youtubowy profil Deep Domek trafiają remiksy polskich piosenek. „Długość dźwięku samotności” została wzbogacona o dodatkowe efekty – beaty, loopy i pogłosy. Jednym się podoba, inni wolą oryginał. Filmik doczekał się ponad 1,5 mln wyświetleń.

Są także piosenki, które są całkowitymi przeróbkami. Na przykład „Baśka” Wilków na profilu DJ Szmyta – który w opisie zanęca: „Najlepsze przeróbki tylko u mnie” – nie ma nic wspólnego z oryginałem. Nie jest o Baśce tylko o Marku, a wulgarny tekst opowiada o alkoholowej libacji. „Lajka” zostawiła ponad setka internautów.

Dwie szafy grające na Facebooku

Zamieszczanie cudzych nagrań w sieci jest dziecinnie proste. Wystarczy założyć konto na Facebooku czy YouTube. Można zamieścić swoje wykonanie, można oryginalne. – Wystarczy podpiąć piosenkę z biblioteki muzycznej

Facebooka czy Instagrama – instruuje mnie menedżer jednego z zespołów.

W takim przypadku mówimy o korzystaniu z legalnego źródła, kiedy nie trzeba zwracać sobie głowy kwestiami praw i tantiem dla autorów piosenek. Jak to działa w praktyce?

Facebook ma dwie osobne biblioteki muzyczne. – Pierwsza to biblioteka muzyki licencjonowanej. Znajdziemy tam zarówno polskie, jak i zagraniczne utwory, w tym największe hity z list przebojów radiowych. Zgodnie z regulaminem muzyka udostępniona w ramach tej biblioteki może być wykorzystywana wyłącznie do niekomercyjnego użytku osobistego. Druga to kolekcja nagrań firmy Meta (właściciela Facebooka – przyp. red.). Udostępniane w ramach tej biblioteki dźwięki i utwory mogą posłużyć do celów komercyjnych, w tym w reklamach. Według oficjalnych informacji w kolekcji nagrań Meta znajduje się ponad 14 tys. utworów i dźwięków z całego świata. Chociaż Meta nie informuje o zasobie utworów w bibliotece muzyki licencjonowanej, to w 2019 r. łącznie udostępniła ponad 35 mln utworów na Instagramie i Facebooku – mówi radca prawny Natalia Stojanowska, autorka bloga Tu. Dział Prawny.

Meta oferuje muzykę, do której uzyskała prawa na podstawie umów licencyjnych z wytwórcami lub twórcami, chociaż użytkownik Facebooka nie może być pewien, że upubliczniając przeboje ulubionego artysty, nie narusza prawa. W maju 2025 r. firma Eight Mile Style, która wydaje piosenki Eminema, złożyła pozew przeciwko Mecie za udostępnianie muzyki słynnego rapera bez odpowiednich licencji.



Przed umieszczeniem czegokolwiek na własnym profilu warto najpierw przeczytać regulamin serwisu, z którego się korzysta. To użytkownik aplikacji będzie rozliczany z tego, jakie treści opublikuje i wypromuje. – Platforma społecznościowa daje nieodpłatny dostęp do materiałów na określonych zasadach, jednak wyłącza swoją odpowiedzialność prawną. Ostateczną odpowiedzialność za sposób wykorzystania muzyki ponosi użytkownik. To on musi zweryfikować, czy licencja uzyskana przez firmę Meta jest wystarczająca, czy jednak należy uzyskać dodatkowe zgody – uprzedza mec. Stojanowska.

Kto zarabia, a kto się bawi

Nie wszyscy zostaną wezwani do zapłaty. Jeśli ktoś prowadzi na Facebooku profil skierowany do przyjaciół, rodziny i najbliższych, publikowane tam cudze utwory będą się mieścić w dozwolonym użytku prywatnym. Osobisty użytek został określony w ustawie o prawie autorskim i prawach pokrewnych z 1994 r. Kogo dotyczy?

– Na dozwolony, niekomercyjny użytek własny może się powoływać jedynie osoba fizyczna, a nie osoba prawna. Takie korzystanie zawsze musi mieć charakter nieodpłatny. Również grono odbiorców będzie wyznaczać nam to, czy mamy do czynienia z dozwolonym użytkowaniem prywatnym, czy z komercyjnym wykorzystaniem – zastrzega autorka bloga Tu. Dział Prawny.

Na Facebooku czy Instagramie można zakładać różne konta: osobiste albo profesjonalne. Z tego drugiego korzystają zarówno firmy, które są nastawione na pozyskiwanie klientów, jak i twórcy cyfrowi, czyli artyści, influencerzy oraz inni producenci treści. Konto prywatne można ustawić jako publiczne, ale w drugą stronę to już nie działa. Użytkownik sam decyduje, jaki rodzaj profilu zakłada. W zależności

od tego, co wybierze, otrzymuje określone funkcjonalności, m.in. dostęp do statystyk, informacje kontaktowe, oznaczenie branży, dodatkowe foldery w skrzynce odbiorczej.

Sam wybór konta nie przesądza o tym, jak ostatecznie nasza działalność zostanie zakwalifikowana. – Na koncie osobistym podejmujemy działania o charakterze prywatnym i domowym. Są skierowane do ograniczonej grupy odbiorców i nie przynoszą, nawet pośrednio, żadnej korzyści majątkowej. Jednak sam fakt, że użytkownik nie oferuje swoich usług lub produktów na profilu, nie zawsze będzie wystarczający do uznania, że prowadzi konto prywatne. O zarobkowym/komercyjnym charakterze prowadzonych działań decyduje dążenie do osiągnięcia zysku, który może mieć także wymiar niematerialny – ostrzega mec. Stojanowska.

Co różni zwykłego użytkownika serwisów społecznościowych od influencera, przedsiębiorcy albo marki osobistej? Oczywiście to, w jakim celu założył i prowadzi profil: dla potrzeb komercyjnych czy jedynie informacyjno-rozrywkowych. Liczy się też charakter komunikatów kierowanych do odbiorców, a także rodzaj grupy, która reaguje na posty i komentarze. Mniejsze znaczenie ma zasięg, ponieważ początkujący biznesmen będzie najpierw reklamował produkty dla garstki klientów w nadziei, że jego firma się rozwinie, a liczba obserwujących rozrośnie.

– Jeżeli publikujemy na profilu informacje na temat podejmowanych przez nas działań zawodowych, biznesowych albo prowadzenie konta nawet w dłuższej perspektywie służy osiągnięciu celów finansowych, zwiększeniu rozpoznawalności, budowaniu pozycji eksperta, pozyskiwaniu umów barterowych czy paczek PR, to wszystkie te aktywności są nastawione na osiągnięcie zysku. Takie konto ma charakter komercyjny – wyjaśnia Natalia Stojanowska. Wtedy to już nie jest dozwolony użytek i każda piosenka opublikowana na profilu będzie traktowana jako pro-



FOT. OLEKSTOCK/SHUTTERSTOCK

mocja naszej osoby, naszych towarów lub usług.

Artysta to nie twórca

Wróćmy do samego contentu – jak określa się treści, w tym utwory muzyczne, importowane do internetu. Bo co innego, kiedy mówimy o oryginalnych nagraniach, które internauci publikują z istniejących zasobów, a co innego, kiedy wrzucają do sieci covery – nowe interpretacje istniejących piosenek.

Każdy, kto publikuje cudze piosenki w swojej interpretacji za pośrednictwem serwisów społecznościowych, musi mieć świadomość, że korzysta z utworów chronionych prawem w myśl wspomnianej ustawy o prawie autorskim. Upublicznienie utworów w zmienionej wersji wymaga zgody uprawnionych, którzy otrzymują tantiemy z tytułu eksploatacji ich twórczości.

Ustawa chroni prawa tych, którzy tworzą (autorów), zarejestrowali utwór w oryginale (wykonawców) i tych, którzy wprowadzają go do obrotu handlowego (producentów, dystrybutorów, wydawców). W przypadku internauty, który chce się popisać własnym wykonaniem cudzej piosenki, nie trzeba pytać o pozwolenie wytwórci płytowych. – W tej sytuacji prawa producenta nagrania nie są naruszane, jeśli jest to nowe wykonanie, zarejestrowane osobiście przez użytkownika – potwierdza Bogusław Pluta, dyrektor zarządzający Związku Producentów Audio-Video.

Nie jest potrzebna także zgoda artystów, np. wokalisty albo gitarzysty, którzy brali udział w nagraniu danego przeboju, a ten trafił później do obrotu w postaci fonogramu (np. płyty CD albo pliku dźwiękowego). – Własne wykonania utworów cudzego autorstwa to wyłącznie kwestia konieczności uregulowania praw autorskich, którymi zarządza ZAiKS. Prawa wykonawcze leżą w tym przypadku po stronie każdorazowo-

wego wykonawcy. Nie ma konieczności uzyskania zgód ani licencji – informuje radca prawny Anna Bleszyńska-Drewicz z biura Stowarzyszenia Autorów Wykonawców (SAWP).

Wykonanie coveru piosenki nie przynosi pieniędzy pierwotnym wykonawcom. Upraszczając: Grzegorz Markowski nie dostanie tantiem za zaśpiewanie „Autobiografii” Perfectu przez przygodnego internautę – zarobią Zbigniew Hołdys (autor muzyki) i Bogdan Olewicz (autor tekstu).

Internauci też mogą zarobić, bo każde artystyczne wykonanie piosenki podlega ochronie, czyli daje prawo do tantiem. – Bez względu na jego walor artystyczny, przeznaczenie i sposób wyrażenia. Nieważne też, czy jest to wykonanie profesjonalne, czy pochodzi od użytkownika mediów społecznościowych będącego amatorem – wyjaśnia Bleszyńska-Drewicz.

Jak poznać, co jest artystyczne, a co nie jest? To kluczowa kwestia. Podpowiedzi trzeba szukać w ustawie. – Za artystyczne mogą być uznane działania osób przyczyniających się do powstania wykonania (a nie samego utworu – red.) w sposób twórczy. I to jest kryterium, które powinno być brane pod uwagę w każdym konkretnym przypadku. Liczy się ocena, czy wykonanie zawiera w sobie element osobistej interpretacji utworu, czy ma choćby minimalny poziom indywidualnego wkładu – tłumaczy radca prawny SAWP.

Jeśli więc wykonanie coveru spełnia wymogi artystycznego działania, tantiemy za zaśpiewanie „Autobiografii” dostanie Kowalski, nie Markowski, bo oryginalna wersja piosenki nie została wykorzystana, tylko sam utwór, za który trzeba się rozliczyć z twórcami (Hołdysem i Olewiczem).

Oburzony Muniek

Co komu wolno zagrać i zaśpiewać? 12 lat temu doszło na tym tle do medialnego oburzenia, kiedy Anna Kubica, kandydatka z ramienia Twojego Ruchu do Parlamentu Europejskiego, zaśpiewała w swoim spocie wyborczym fragment refrenu piosenki „Jest super” grupy T.Love.

Polityk chciała w ten sposób zwrócić uwagę na rozrzutność rządu Donalda Tuska, który wydał 7 mln zł na produkcję minutowego wideo z okazji 10-lecia Polski w Unii Europejskiej. W tamtym klipie o polskim skoku cywilizacyjnym wykorzystano „Hey Jude” Beatlesów, który to przebój premier nucił na posiedzeniu Rady Ministrów. Działaczka Twojego Ruchu postanowiła prześmiewczo, z piosenką na ustach, skomentować samozadowolenie premiera (że w Polsce wcale nie jest su-

per), czym naraziła się frontmanowi T.Love Muńkowi Staszczukowi. Zaproszony do stacji TVN muzyk nie krył oburzenia z powodu wykorzystania piosenki bez wiedzy i zgody autora, w dodatku do celów politycznych. Nazwał to „złodziejskim procederem”. Artysta przypomniał, że wcześniej PiS zrobił użytek z piosenki „Warszawa”, nie pytając zespołu o pozwolenie. „Nie wypowiadamy się w imieniu żadnych polityków” – zastrzegł Muniek.

Wokalistę najbardziej zbulwersowała jednak to, że Anna Kubica, z zawodu radczyni prawna, zwyczajnie złamała prawo autorskie. Kandydatka próbowała obrócić całą sprawę w żart. Nagrała kolejny spot, w którym przedstawiła się jako fanka zespołu i pochwaliła Muńka za piosenki, które poprowadziły Polskę do wolności. A w demokracji nie ma cenzury. Prawo do parodii i cytatu ma każdy obywatel. Ona też. „Proszę się nie smuć. Chłopaki nie płaczą” – mrugnęła ze spotu do zbulwersowanego wokalisty. Sprawa rozeszła się po kościach.

Nie wolno nic zmieniać

Jeśli ktoś bierze do ręki gitarę, włącza kamerę i nagrywa dajmy na to „Teksańskiego” grupy Hey z własnym głosem i podkładem, powinien najpierw uzyskać zgodę na publiczne wykonanie utworu – bezpośrednio u twórców albo od organizacji zbiorowego zarządzania prawami, takiej jak właśnie ZAiKS (Związek Autorów i Kompozytorów Scenicznych).

Stowarzyszenie ma podpisane umowy licencyjne z Facebookiem, Instagramem, Tik Tokiem i YouTube’em, co umożliwia użytkownikom publikowanie coverów w zakresie objętym tymi licencjami. Zdarza się jednak, że znany utwór, który chcemy zaśpiewać w internecie, nie jest pod ochroną ZAiKS-u. Na przykład Gabriela Kurylewicz, córka Wandy Warszawskiej i Andrzeja Kurylewicza, która jest spadkobierczynią twórczości obojga artystów, sama udziela (a często odmawia) licencji osobom, które chcą wykonywać utwory jej rodziców. Skąd internauta ma wiedzieć, że musi pytać o pozwolenie kogoś innego niż ZAiKS?

– Weryfikacji, czy dany utwór należy do repertuaru ZAiKS-u, można wstępnie dokonać, korzystając z wyszukiwarki znajdującej się na naszej stronie internetowej. Katalog tam zawarty jest jednak jedynie narzędziem pomocniczym. Nie zawiera wszystkich utworów, do których prawami zarządzamy. W sytuacji kiedy użytkownik nie odnajdzie na wskazanej stronie konkretnego utworu, dla pewności należałoby się skontaktować ze stowarzyszeniem w celu weryfikacji, czy utwór ten nale-

ży do repertuaru ZAiKS-u, czy też nie – informuje Anna Klimczak, rzeczniczka prasowa Stowarzyszenia Autorów ZAiKS.

Osoby upubliczniające swoje nagranie cudzej piosenki muszą jeszcze pamiętać o ważnej zasadzie – nienaruszalności treści i formy utworu. Amatorskie wykonanie nie może być przeróbką. – Opublikowany cover powinien być efektem samodzielnego wykonania oraz wiernie oddawać oryginalny utwór. Nie może zawierać żadnych zmian, w szczególności w tekście, melodii, harmonii czy strukturze. Dopuszczalna jest jedynie indywidualna interpretacja wykonawcza, która nie narusza charakteru i integralności utworu – tłumaczy rzeczniczka ZAiKS-u.

Interpretować (wykonywać, recytować) – można. Modyfikować (adaptować) – nie. A za modyfikację uważa się zaśpiewanie piosenki z inną linią melodyczną, zwrotką czy refrenem, skręcanie i łączenie utworów. To już uchodzi za opracowanie i wymaga odrębnej zgody twórców przed publikacją. ZAiKS jej nie udzieli. Jeśli ktoś chce przerobić publicznie kawałek Kazika czy Muńka, niech z tym idzie prosto do Kazika lub Muńka.

– Konieczność uzyskania licencji, jej zakres i przedmiot oraz podmiot, od którego taka licencja powinna być uzyskana, zależy od podejmowanego przez użytkownika sposobu korzystania, w tym pola eksploatacji (np. na Facebooku), na którym takie korzystanie ma mieć miejsce. Odpowiedzialność za legalność wykorzystania utworu w zgodzie z regulaminem danej platformy oraz ewentualne konsekwencje wynikające z naruszenia praw autorskich ponosi użytkownik publikujący nagranie – dopowiada Klimczak.

Muzycy nic nie słyszeli

Autorzy zwykle nie ściągają internautów z powodu używania ich piosenek. Bo też ruch w sieci ma taką skalę, że jest nie do zatrzymania. Nie sposób policzyć, ile utworów jest codziennie udostępnianych przez wszystkich użytkowników w polskim internecie – mówimy o dziesiątkach, jeśli nie setkach tysięcy.

Pytam Przemysława Myszora z grupy Myslovitz, czy zespół udzielił licencji użytkownikowi Deep Domek na korzystanie z utworu „Długość dźwięku samotności”. – Jeśli cudze wykonanie naszej piosenki nie jest dla nas obraźliwe ani ośmieszające, to nie interweniujemy. Osobiście nie chcę nikomu niczego zabraniać, bo jestem za wolnością, o ile ta wolność nie jest posunięta zbyt daleko – zastrzega Myszor, współautor tekstu i kompozycji do „Długości”.

Remiksy, którymi na swoim kanale na platformie YouTube chwali się Deep Domek (poza piosenkami Myslovitz są tam też piosenki Czerwonych Gitar, Agnieszki Chylińskiej czy Dżemu), to już naruszenie praw do piosenki. Myslovitz nie dało użytkownikowi zgody – wziął ją sobie sam. Myszor o sprawie dowiedział się ode mnie. Powiadomi kolegów z zespołu oraz menedżera. Niewykluczone, że będą interweniować. ©©

Każdy, kto publikuje cudze piosenki w swojej interpretacji za pośrednictwem serwisów społecznościowych, musi mieć świadomość, że korzysta z utworów chronionych w myśl ustawy o prawie autorskim



FOT. LIZ HAFALIA/THE SAN FRANCISCO CHRONICLE VIA GETTY IMAGES

Trzeba się rozwijać do końca kariery

Do pewnych ról trzeba dojrzeć, poczekać na nie. Głos, dobrze prowadzony technicznie przez te wszystkie lata, rozwija się i wzmacnia

Z Arturem

Rucińskim

rozmawia Olga Łozińska

Jak pan wspomina dzień swojego debiutu na deskach Metropolitan Opera? Minęło już 10 lat... Tak się złożyło, że 10-lecie mojego debiutu obchodziłem w tym sezonie, podczas inscenizacji „Purytanów” w reżyserii Charlesa Edwardsa. Debiutowałem w roli Sharplessa w „Madame Butterfly”, w pięknej inscenizacji Anthony’ego Minghelli. Zresztą ta piękna, poetycka inscenizacja jest prezentowana do tej pory i w następnych sezonach znów będę brał w niej udział. Bardzo się cieszyłem, kiedy zaproponowano mi tę rolę. Mój debiut co prawda

miał nastąpić już w 2014 r., ale inscenizacja „Fausta” Charles’a Gounoda, w której miałem wystąpić, została odwołana. Później byłem zajęty i ostatecznie zadebiutowałem właśnie w lutym 2016 r.

Od początku zachwylił mnie przede wszystkim profesjonalizm ludzi pracujących w Metropolitan Opera. Jest to świetnie zorganizowany teatr z profesjonalistami w każdym calu, zaczynając od muzyków, a kończąc na obsłudze technicznej, realizatorach. Zostałem wówczas przyjęty niezwykle gorąco i cieszę się, że od tamtej pory co roku jestem zapraszany do Met. Mam już podpisane kontrakty na trzy kolejne sezony.

Musiał pan przejść przesłuchania przed debiutem w Met?

Artur Ruciński – śpiewak (baryton). Występuje na najbardziej prestiżowych scenach operowych, m.in.: Met, Teatro alla Scala w Mediolanie, Royal Opera House Covent Garden w Londynie, Opéra Bastille w Paryżu, Teatro Real w Madrycie, San Francisco Opera oraz Deutsche Oper Berlin. W sezonie 2009/2010 znalazł się na liście 20 najlepszych śpiewaków operowych na świecie austriackiego magazynu „Festspiele”

Nie, zostałem zaproszony ze względu na to, że śpiewałem już na różnych scenach, m.in. w Covent Garden w Londynie, Los Angeles, La Scali, La Fenice, Madrycie, Berlinie, Hamburgu, Paryżu, Wiedniu i wielu innych.

Jaka jest rola agenta w karierze śpiewaka operowego?

Bardzo istotna. Menedżer który cieszy się szacunkiem w świecie opery, może otworzyć młodemu śpiewakowi wiele drzwi. Jest ostrzegany przez pryzmat tego, jakich artystów wcześniej reprezentował, czy jest osobą godną zaufania. Natomiast czy te drzwi zostaną później przez cały czas otwarte, zależy od tego, jak się zaprezentujemy, czy potrafimy pracować w zespole itd. Rola menedżera jest szczególnie istotna na początku

kariery, ponieważ to on niejako pomaga wejść na rynek. Gianluca Macheda, mój menedżer, bardzo się angażuje w pomoc młodym artystom i dzięki temu ci młodzi śpiewacy, już niejako nasi następcy, mają możliwość pokazania się szerszej publiczności i swoją pracą, i talentem udowadniają, że na to zasługują.

W Met regularnie występują też Piotr Beczała, Aleksandra Kurzak, Tomasz Konieczny. Czy ta imponująca liczba Polaków na jednej z najbardziej prestiżowych scen to efekt dobrego systemu edukacji? Wynika to nie tyle z systemu edukacji, ile z talentu i ciężkiej pracy wspomnianych osób. Do tego dodałbym jeszcze młode pokolenie, które dopiero wkracza na tę nowojorską scenę, czyli Andrzeja Filończyka, Krzysztofa Bączyka i wielu innych. To, że w tym sezonie Ola, Piotr, Tomasz, Andrzej, Krzysztof oraz ja wystąpiliśmy na deskach Met, świadczy o tym, że jesteśmy narodem niezwykle utalentowanym i pracowitym i dzięki temu osiągamy sukcesy, o których pani wspomniała.

Czy zaobserwował pan, jak zmieniła się Metropolitan Opera przez te 10 lat?

Myszę, że się nie zmieniła. Jedną nowością są cięcia w budżecie tego teatru. Bardzo ciężkim okresem, tak jak dla wszystkich scen, był czas pandemii. Akurat teatr w Nowym Jorku został zamknięty i większość artystów została zwolniona, bo model funkcjonowania w Stanach Zjednoczonych jest zupełnie inny niż w Europie. Dlatego był to dramatyczny moment dla wszystkich pracowników tej instytucji. Teatry operowe w wielu krajach Europy w czasie pandemii były zamknięte, natomiast hiszpańskie były przykładem dla reszty świata, że w czasie COVID-19 można było wystawiać spektakle. Byłem jednym z niewielu szczęśliwców, którzy wtedy występowali. Zostałem zaproszony, żeby wziąć udział w dwóch inscenizacjach oper Giuseppe Verdiego, „Traviaty” i „Balu Maskowego” w Teatro Real w Madrycie. To był pierwszy teatr na świecie, który w okresie pandemii otworzył swoje podwoje dla publiczności. Wykonał niesamowitą pracę. Zapraszał do współpracy artystów z innych teatrów, nie tylko operowych, lecz także baletowych, musicalowych i operetkowych, a nawet aktorów dramatycznych, żeby dać możliwość powrotu do pracy i tego, co jest dla nas, artystów, najważniejsze – kontaktu z żywą publicznością – jak największej liczbie artystów. Z tego, co wiem, również teatry w innych miastach w Hiszpanii starały się w miarę możliwości pracować. Niestety dla teatrów w Nowym Jorku był to moment dramatyczny. Natomiast kiedy już Met wróciła do pracy, nie widzę jakichś zmian. Nadal wszyscy są bardzo profesjonalni, przyjaźni, tworzą jedną artystyczną rodzinę. Powrót do tego teatru zawsze sprawia mi wielką przyjemność, nie tylko ze względu na kontakt z bardzo żywiołową publicznością, lecz także z ludźmi, którzy tam pracują,

WYWIAD

bo są niezwykle profesjonalni i zawsze świetnie przygotowani.

Ich podejście różni się od tego w operach europejskich? Nie. W teatrach, w których pracuję, są oczywiście różne osobowości, różne mentalności, temperamenty. Natomiast zawsze podejście do wykonywanego zawodu jest bardzo, bardzo profesjonalne.

Przygotowuje się pan teraz do roli Rigoletta w operze Verdiego. Tak, to będzie następna rola, którą dodaję do mojego repertuaru. Stawiam sobie wyzwania w mojej artystycznej drodze i sięgam po kolejne partie, kiedy uważam, że jestem już na to gotowy. Teraz nadszedł czas na następne partie verdiowskie. Dwa sezony temu debiutowałem w roli Don Carlosa di Vargas w „La forza del destino” Verdiego, a w tym roku zadebiutuję jako Rigoletto. Pierwszy raz w tej roli wystąpię w Operze Wrocławskiej, później w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie, a następnie w Houston. Toczą się również rozmowy na temat mojego występu w tej roli w Operze Krakowskiej. Nie mogę się już doczekać, kiedy będę mógł państwu zaprezentować tę niezwykle piękną postać.

Czy taki stopniowy dobór ról wynika z nabierania dojrzałości, doświadczenia życiowego, czy z tego, że z czasem głos się zmienia?

W naszym zawodzie należy się rozwijać do końca swojej kariery. Nawet jeżeli się osiągnęło sukces, nie można nigdy przestać pracować nad warsztatem i rozwojem artystycznym. Do pewnych ról trzeba dojrzeć, poczekać na nie. Głos, dobrze prowadzony technicznie przez te wszystkie lata, rozwija się i wzmacnia. Tak jak w moim przypadku. Staram się od początku świadomie dobierać role. Pozwala mi to stopniowo sięgać po coraz szerszy i cięższy repertuar. Dobiegam pięćdziesiątki. To najlepszy wiek dla barytona, żeby sięgać po następne role. Jestem tego najlepszym przykładem. Chcę przez cały czas się rozwijać po to, żeby móc coraz więcej dawać publiczności, a także, aby nie ugrzęznąć tylko wśród kilkunastu czy kilku ról.

Czy miał pan taką sytuację, że chciał zaśpiewać partię, lecz musiał ją odłożyć, bo okazało się, że jeszcze na nią za wcześnie?

Nie, do tej pory nigdy się to nie wydarzyło, dlatego że zdaję sobie sprawę, jak posługiwać się moim głosem. Wiem, co mogę, a czego nie, w jakim repertuarze się czuję dobrze, a po jaki nie chcę sięgać. Nie czuję też potrzeby zaśpiewania wszystkich ról barytonowych, które zostały napisane.

A jakich partii nie chce pan śpiewać?

Rzadko sięgam po repertuar niemiecki i francuski. Nie uważam, że on jest gorszy, po prostu inni koledzy czują się w nim bardzo

dobrze i są świetni, a ja akurat czuję się dobrze w repertuarze włoskim – przede wszystkim bel canto i verdiowskim. Od czasu do czasu sięgam po muzykę rosyjską, która jest bliska mojemu sercu, jak partia Oniegina, która otworzyła mi wiele drzwi na świecie i co jakiś czas do niej wracam. Za jakiś czas zaśpiewam w nowej produkcji „Eugeniusza Oniegina” w Monachium. Nie ma takich ról, których nie lubię, po prostu pewne role są dobre dla mojego głosu i mnie interesują, a inne nie.

Czy jest to też kwestia fizycznych predyspozycji głosowych?

Nie tyle fizycznych predyspozycji, ile estetyki. To jest bardzo indywidualna sprawa. Chodzi o to, że ja się po prostu czuję świetnie w tym repertuarze, a w innym siebie nie widzę, i to jest moja decyzja. Natomiast do pewnego repertuaru, jak włoskie bel canto czy twórczość Verdiego, trzeba mieć predyspozycje, takie jak: barwa głosu, biegłość techniczna, wytrzymałość fizyczna. Bardzo ważne jest też to, jak frazujemy i jak potrafimy się posługiwać językiem włoskim. To wszystko sprawia, że ktoś może po ten repertuar sięgać, a ktoś inny nie, bo jest predysponowany zupełnie do innej muzyki.

Jeśli mówimy o Verdim, to w tym sezonie najczęściej śpiewa pan w „Trubadurze”, a ostatnio można było zobaczyć pana w „Traviacie”.

Tak, ten sezon rozpocząłem z „Purytanami” Vincenza Belliniego. To opera stricte w stylu bel canto. Dla mnie ten styl, muzyka z tej epoki, jest fundamentem, na którym rozwijałem swoją technikę, wrażliwość muzyczną. Uczyłem się, jak należy się posługiwać oddechem, jak frazować. Dzięki temu z czasem mogłem przejść do repertuaru verdiowskiego. Rzeczywiście wielokrotnie w tym sezonie będę wykonywał partię hrabiego di Luny w operze „Trubadur” w Opéra de Monte-Carlo w Monako, w Bayerische Staatsoper w Monachium, a na koniec sezonu w Teatro Real w Madrycie. Między tymi inscenizacjami zaśpiewam także Marcella w „Cyganerii” Giacomo Pucciniego w Neapolu, w przepięknym Teatro di San Carlo, gdzie debiutowałem wiele lat temu w innej partii verdiowskiej – Francesca w „I Masnadieri”, czyli „Zbójcach”. Zawsze chętnie wracam do partii Marcella, bo jest to bardzo pozytywna, pięknie muzycznie napisana rola, a ja głównie wcielam się w role czarnych charakterów. (śmiech)

Nie przeszkadza to panu? Wręcz przeciwnie, jest to bardzo interesujące i inspirujące. To wyzwanie, móc wejść w buty postaci, która jest pełnym przeciwieństwem mnie samego, a przy okazji Verdi pisał tak niezwykle wokalnie! Sam był barytonem, myślę, że to dlatego tak wiele głównych ról powierzył barytonom, ale tak naprawdę kochał wszystkie głosy. Viva Verdi! ©



FOT. WOJTEK GORSKI

To idzie postęp

Jan Wróbel

Tygodnik „Polityka” to, jak kiedyś mówiono o polskim społeczeństwie, rzodkiewka. Z wierzchu czerwona, w środku biała. Redakcja czujnie zaferowała felietony zaangażowanym feministkom. Zwraca się uwagę na postępowe filmy czy książki. Załamuje się ręką nad stanem polskiego duchowieństwa i Polaków (oczywiście nie tych, którzy kupują „Politykę”, tylko tych homofobów, którym przewraca się w głowie za 800+, a mogliby sprzątać w domach dobrych rodzin, które wyjechały na Baleary). I tyle tej czerwieni. Kiedy na łamach wypowiada się dziewczyna, której „osoba partnerska” śpi z „innymi osobami”, to czuje się, że taka afirmacja płynnej postnowoczesnej tożsamości wydaje się redakcji... dziwna. Bo w sumie czytelnik „Polityki” chce, aby było „normalnie”, a normalnie to jest od Hartmana do Urbana i nie dalej. No i bez PiS!

Okładka z dwiema kobietami, którą „Polityka” zaprasza do dyskusji na temat emerytur mundurowych, potwierdza tę obserwację. Wyobraźmy sobie, że to jakiegoś PiS-owskie medium szuka okładki dla podobnego tematu. Dolary przeciw orzechom, że szukałoby twarzy wrogów, bo nic tak nie pobudza czytelnictwa jak wredni. A jeszcze lepiej – wredne. Młode baby biorące emerytury? Wspaniale. Ale się naród rzuci. Bo z narodem i kwestią kobiecą to wiadomo, jak jest... „Polityka” puszcza oko do widowni, nie zważając na to, jak, excusez-moi, proste i prawicowe to mrugnięcie.

Tak, PiS-owskie medium prawie na pewno nie wybrałoby w takich okolicznościach wizerunku żony PiS-owskiego prezydenta. Oddajmy więc cesarzowi, co cesarskie: redakcja „Polityki” miałaby mniej wahań w hipotetycznym użyciu w omawianym kontekście wizerunku młodej żony prezydenta ze swojej paczki, bo czolobitność tego tygodnika wobec „swoich” jest mniejsza niż u prawicowej konkurencji. Choć w życiu nie można być niczego pewnym. Jeszcze kilka lat temu, o ile nie idealizując wspomnień, „Polityka” wzdygnęłaby się przed katastrofalnie nietrafionym połączeniem Marty Nawrockiej i Urszuli Brzezińskiej-Hołowni ze sprawą wczesnych emerytur mundurowych. Bo akurat w sprawach tych kobiet nic nie budzi wątpliwości co do słuszności podjętych przez nie decyzji. ©

KOMUNIKAT



WOJEWODA MAZOWIECKI

Skarb Państwa – Wojewoda Mazowiecki

z siedzibą pl. Bankowy 3/5, 00-950 Warszawa, www.gov.pl/web/uw-mazowiecki
email: spw@mazowieckie.pl, tel. 22 695 60 29

ogłasza przetarg pisemny nieograniczony

na sprzedaż spółdzielczego własnościowego prawa do lokalu mieszkalnego nr 13, o powierzchni 39,00 m² w budynku nr 2 przy ul. Edwarda Szymańskiego w Warszawie. Lokal znajduje się w zasobach Spółdzielni Mieszkaniowej „Kolonja Kasprzaka” w Warszawie, ul. Kasprzaka 7/U16. Lokal położony jest na 3 piętrze w budynku trzypiętrowym i składa się z 1 pokoju, przedpokoju, kuchni, łazienki z wc oraz balkonu.

Cena wywoławcza lokalu wynosi 651.805 zł.

Mieszkanie można oglądać w dniu 10 marca 2026 r. w godz. 11.00–12.00. Dodatkowe informacje można uzyskać osobiście w siedzibie Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego Delegaturze – Placówce Zamiejscowej w Ciechanowie, ul. 17 Stycznia 7, 06-400 Ciechanów, pok. 211 lub telefonicznie pod nr 23 671 93 41 oraz 23 671 93 57 w godz. 8.00 – 15.00, email: pjedraszczak@mazowieckie.pl lub gwalczyk@mazowieckie.pl. Oferenci mogą zapoznać się z regulaminem przetargu oraz operatem szacunkowym lokalu w siedzibie Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego, Pl. Bankowy 3/5, 00-950 Warszawa, pok. 607 oraz w lokalu będącym przedmiotem przetargu w dniu 10 marca 2026 r. w godz. 11.00–12.00.

Pisemne oferty zawierające:

- imię, nazwisko i adres oferenta lub nazwę oraz siedzibę podmiotu gospodarczego, potwierdzone odpisem z właściwego rejestru,
- datę sporządzenia oferty,
- oferowaną cenę w złotych polskich,
- oświadczenie, że oferent przyjmuje warunki przetargu bez zastrzeżeń,
- dowód wpłaty wadium,
- numer rachunku bankowego, na który należy dokonać zwrotu wadium,
- podpis osoby uprawnionej do reprezentacji oferenta należy doręczyć lub przesłać w zamkniętych kopertach, z dopiskiem na kopercie „Przetarg na mieszkanie – Warszawa Szymańskiego 2/13” w siedzibie Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie, Pl. Bankowy 3/5, 00-950 Warszawa, pokój nr 809 do dnia 23 marca 2026 r. do godz. 15.00. Otwarcie ofert nastąpi w dniu 26 marca 2026 r. o godz. 11.00 w siedzibie Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie, Pl. Bankowy 3/5, 00-950 Warszawa w pokoju nr 607.

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłata wadium w wysokości 5% ceny wywoławczej tj. kwoty 32.590 zł na rachunek bankowy nr 24 1130 1062 0000 0364 8720 0004 prowadzony w Banku Gospodarstwa Krajowego z dopiskiem „wadium mieszkanie – Warszawa Szymańskiego 2/13” w terminie do dnia 17 marca 2026 r. Za datę wniesienia wadium uważa się datę wpływu środków na ww. rachunek. Wadium wpłacone przez uczestnika, którego oferta zostanie przyjęta, zalicza się na poczet ceny nabycia, a pozostałym uczestnikom przetargu zostanie zwrócone w wartości nominalnej na wskazane konto niezwłocznie po rozstrzygnięciu przetargu. Nieprzyjęcie oferty, unieważnienie przetargu lub zamknięcie bez wybrania którejkolwiek z ofert nie daje prawa do naliczania odsetek od wpłaconego wadium. Wadium przepada na rzecz sprzedającego, jeżeli oferent, którego oferta zostanie przyjęta uchyli się od zawarcia umowy. Koszty zakupu lokalu, w tym koszty aktu notarialnego, ponosi nabywca.

W przypadku złożenia równorzędnych ofert zostanie zorganizowany dodatkowy przetarg ustny ograniczony do oferentów, którzy złożyli te oferty. O terminie dodatkowego przetargu oferenci, o których mowa wyżej zostaną powiadomieni pisemnie.

Zastrzega się prawo do odwołania lub unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.



FOT. WOJTEK GORSKI

A jeśli na strefie euro tracą wszyscy...

Rafał Woś

Mamy w Europie od lat taką dziwną sytuację, że na pytanie „komu służy wspólna waluta euro?” można usłyszeć coraz częściej, że „na pewno... nie nam”. Paradoks zaś polega na tym, że uważają tak niemal wszyscy. I to jednocześnie. Niemożliwe? Świeżutka praca amerykańskiego ekonomisty Harry'ego Aytuga dowodzi, że tak się właśnie w Europie dzieje. To znaczy, że na euro tracą... wszyscy.

Euro jest i zawsze było projektem politycznym. To niby oczywiste dla każdego, kto skończył osiem lat i klockami Lego bawi się już tylko z własnymi dziećmi. Polityczni architekci wspólnego europejskiego pieniądza zadbali jednak o to, by ich dzieło miało ładną ekonomiczną podkładkę. Za taką robi do dziś cały wielki stos literatury ekonomicznej na temat euro z lat 80., 90. i przełomu wieków. Robert Mundell, Robert Barro czy David Gordon to kilka nazwisk sławnych ekonomistów, na których pracach opiera się przekonanie o tym, że można stworzyć optymalny obszar wspólnego pieniądza i że długoterminowe efekty integracji walutowej dla krajów tworzących taki obszar będą – w najgorszym przypadku – neutralne. A w najlepszym – może nawet – pomogą integrującym się gospodarkom.

Sęk w tym – powiada Aytug – że teoretyczne założenia nie znajdują odbicia w rzeczywistości. Tak przynajmniej wynika z przedstawionej przez niego analizy porównawczej obejmującej kraje, które się od ponad dwóch dekad integrują w ramach euro. I podobnych do nich gospodarek OECD, które do takiego eksperymentu na żywym organizmie nie przystąpiły.

Według wycieńzeń Aytuga ten negatywny wpływ eurointegracji objawia się we wzroście gospodarczym niższym średnio o 0,3–0,4 proc. PKB rocznie. Zdaniem ekonomisty efekt ów najmocniej jest widoczny przez pierwszą dekadę funkcjonowania w ramach projektu integracji walutowej. Ale tu uwaga. Te 0,3–0,4 proc. wzrostu PKB mniej to wartość – jak się rzekło – uśredniona. W rzeczywistości euro hamowało dużo mocniej gospodarki peryferyjne: Grecję, Portugalię, Włochy

czy Hiszpanię. W przypadku krajów rdzenia UE (Niemcy, Austria, Holandia) hamulec ów działał słabiej. Chociaż też działał. Te wyniki są intrygujące, bo spójne z owym przekonaniem o szkodliwości projektu euro kwitującym w różnych przeciw krajach UE. Dość wspomnieć, że złowroga AfD, którą straszy się już dziś wszystkie niemieckie dzieci z dobrych domów, powstała ponad dekadę temu jako partia paru profesorów ekonomii sfrustrowanych tym, że Niemcy tracą na strefie euro właśnie.

Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że ten tekst może trafić jakimś cudem w ręce zagorzałego zwolennika wspólnej waluty. Zgodnie z psychologicznymi mechanizmami wyparcia (rzecz opisana szeroko w literaturze) najpóźniej w tym momencie skreśli on przedstawione tu wnioski jako „niemerytoryczną” i „publicystyczną” spekulację. Najpewniej „motywowaną ideologiczną niechęcią do projektu euro”. Przed taką recepcją zabezpieczyć się nie sposób. Można jedynie pokazać, jakie mechanizmy mogą tłumaczyć ten hamujący wpływ euro na wszystkich uczestników integracji walutowej w Eurolandzie.

Pierwsza przyczyna może tkwić w braku naturalnych mechanizmów dostosowawczych w gospodarkach pozbawionych suwerennej waluty. Gdy kraj swoim pieniądzem dysponuje, to jego pieniądz reaguje na szoki zewnętrzne niczym bufor, obniżając lub podwyższając kurs wymiany na waluty partnerów handlowych. Gospodarki, które zamieniły swoje waluty na euro, muszą uwzględnić dewaluację wewnętrzną (czyli spadek cen i płac). A to z kolei uderza w popyt wewnętrzny i hamuje życie gospodarcze.

Drugi powód to polityka fiskalna. Kraje Unii Europejskiej są zobowiązane do przestrzegania reguł antyzadłużeniowych, więc rząd ma związane ręce i nie może w sposób aktywny pobudzać słabej koniunktury. W wypadku krajów strefy euro dochodzi jeszcze to, że w miejsce rządu jako promotora wzrostu nie może wskoczyć bank centralny. Bo polityka monetarna dla całej strefy euro powstaje we Frankfurcie. A nie w stolicach państw członkowskich.

I po trzecie, jedna polityka monetarna dla kilkunastu gospodarek, różnych pod względem zamożności, wielkości i ekspozycji na problemy, nigdy nie trafi w potrzeby wszystkich. A co gorsza, może nie trafić w potrzeby niczyje. I tak się właśnie dzieje ze strefą euro. Kraje, gdzie recesja jest głębsza, kończą ze zbyt wysokimi stopami, które je morderują. A te, które z recesji już wyszły, mogą dostać zbyt niskie stopy, które napędzają wzrost cen nieruchomości i pompują bańki na rynkach kredytowych.

I jak wam brzmią te wyjaśnienia? Bo moim zdaniem wszystko z nimi w najlepszym porządku.

©

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność” oraz publicystą wydawanego przez NBP „Obserwatora Finansowego”

Czy wiedza smakuje lepiej, gdy kosztuje?

Sylwia

Radomska

Autorka jest ekonomistką GRAPE

Debata o odpłatności za studia regularnie powraca zarówno w dyskursie publicznym, jak i w badaniach. Zwolennicy bezpłatnej edukacji wyższej wskazują, że stanowi ona dobro publiczne, wspiera mobilność społeczną oraz zmniejsza nierówności. Obrońcy czesnego podkreślają z kolei, że dyplom przekłada się na wyższe zarobki, więc koszty kształcenia powinny spoczywać na barkach beneficjentów. Ekonomisci próbują od lat rozstrzygnąć spór, badając, jak zmiany w wysokości opłat wpływają na decyzje młodych ludzi.

Jednym z ciekawszych przykładów naturalnego eksperymentu stała się reforma w Wielkiej Brytanii, w której regiony prowadzą odrębną politykę edukacyjną. W 2012 r. w Anglii maksymalne czesne wzrosło z 3,3 tys. do 9 tys. funtów rocznie, podczas gdy w Szkocji studia pozostały bezpłatne. Ekonomistka Filipa Sá (Kolegium Królewskie w Londynie) wykorzystała tę sytuację, by porównać decyzje edukacyjne młodych ludzi. Jej analiza wykazała, że wyższe opłaty prowadziły do spadku liczby aplikacji: 10-proc. podwyżka czesnego oznaczała średnio 4-proc. spadek liczby kandydatów. Najmocniej ucierpiały uczelnie mniej prestiżowe i kierunki humanistyczne, popularne pozostały nauki ścisłe i techniczne.

Obraz ten jest jednak dużo bardziej zniuansowany. Wraz z podwyżką wprowadzono system pożyczek i stypendiów. W efekcie negatywne skutki nie dotknęły najsłabszych ekonomicznie grup. Co więcej, spadek liczby aplikacji okazał się wyraźniejszy wśród kandydatów z bogatszych rodzin, a także wśród kobiet i białych studentów. Badania zespołu Leny Hassani-Nezhad (Uniwersytet Londyński) pokazały, że młodzież nie zmieniła swoich planów, za to na podwyżkę czesnego mocno zareagowali rodzice. W gospodarstwach uboższych aspiracje wobec dzieci wzrosły. Za to w rodzinach zamożniejszych entuzjazm wobec uniwersytetu osłabł. W rezultacie różnice klasowe w oczekiwaniach wobec dzieci uległy zmniejszeniu – paradoksalny efekt droższej edukacji.

Jeszcze inną perspektywę otwierają badania zespołu Pietra Garibaldiego (LSE) na Uniwersytecie Bocconiego

we Włoszech. Tam wysokość czesnego uzależniona była od dochodów rodziców. Badacze nie analizowali samej decyzji o podjęciu studiów, lecz skłonność studentów do terminowego zakończenia nauki. Okazało się, że wyższe opłaty zmniejszały prawdopodobieństwo wydłużania studiów.

Ciekawych wniosków dostarcza też przykład Niemiec. Do początku XXI w. studia były tam niemal darmowe (studenci płacili symboliczne opłaty administracyjne), jednak sytuacja zmieniła się w 2005 r., gdy Federalny Trybunał Konstytucyjny pozwolił landom wprowadzać czesne. Skorzystało z tego 7 z 16, m.in. Bawaria, Dolna Saksonia i Badenia-Wirtembergia. Opłata wynosiła ok. 1 tys. euro rocznie. Ten stan rzeczy nie trwał długo: pod wpływem protestów społecznych między 2011 r. a 2014 r. kolejne landy wycofywały się z czesnego. Tak powstał naturalny eksperyment, z którego skorzystał Malte Hübner (Uniwersytet w Mannheimie). Wykazał on, że wprowadzenie opłat zmniejszało skłonność do składania podań na uniwersytet w macierzystym landzie o ok. 2 pp. Co ciekawe, najlepsi uczniowie reagowali na czesne słabiej, a nawet częściej wybierali studia tam, gdzie były płatne. Ci ze słabszymi wynikami woleli uciekać do landów bezpłatnych.

Wszystkie te przykłady prowadzą do jednego wniosku: pytanie – płatne studia czy nie? – jest złe postawione. Wpływ czesnego na decyzje młodych ludzi zależy od kontekstu instytucjonalnego – od istnienia systemu stypendiów i pożyczek, od konstrukcji ulg, a także od sygnałów, jakie państwo wysyła studentom co do wartości ich wyborów. W Polsce spór o finansowanie uczelni publicznych wciąż toczy się głównie na poziomie haseł: „darmowe studia dla wszystkich” kontra „niech płaci ten, kto korzysta”. Tymczasem lekcje płynące z doświadczeń Wielkiej Brytanii i Niemiec pokazują, że prawdziwe pytanie brzmi inaczej: dla kogo i na jakich warunkach powinny być studia płatne bądź bezpłatne. Bo wiedza nie zawsze smakuje lepiej, gdy kosztuje – ale też nie zawsze jest wartościowsza, gdy nie kosztuje nic.

©

Drugie życie technologii

Rachunek ekonomiczny a efektywność modernizacji w sektorze elektroenergetycznym

Transformacja energetyczna stawia przed przedsiębiorstwami dylemat: inwestować w kosztowne, nowe urządzenia czy usprawnić posiadaną, sprawdzoną infrastrukturę? Doświadczenia Zakładu Usług Technicznych Energoaudit wskazują, że warto rozważyć finansowe i procesowe argumenty przemawiające za modernizacją. Nie bez znaczenia pozostają również operacyjne i proceduralne wyzwania wdrażania nowoczesnych systemów monitoringu urządzeń dużej mocy.

Modernizacja – wybór ekonomiczny

Transformatory starszej generacji do dziś zachowują wysoką wartość eksploacyjną. Ich konstrukcja często cechuje się trwałością przewyższającą współczesne, „odchudzone” modele. Dla użytkowników przemysłowych za decyzją o remoncie przemawiają ograniczenia budżetowe, długie terminy dostaw nowych urządzeń i przestoje produkcyjne w czasie montażu. – Tymczasem remonty i modernizacje wydłużają żywotność zasobów, obniżają koszty i ograniczają generację odpadów technicznych, których recykling bywa nieopłacalny ze względu na zróżnicowany skład materiałowy. Jednak decyzja ta wymaga rzetelnej diagnostyki. Jedynie kompleksowy przegląd i testy pozwalają ocenić opłacalność naprawy wobec zakupu nowego urządzenia – mówi **Mirosław Zajac**, Prezes Zarządu Zakładu Usług Technicznych Energoaudit sp. z o.o., od 23 lat specjalizującego się w dziedzinie bezpie-

czeństwa energetycznego, świadczącego serwis modernizacji i remontów urządzeń, zwłaszcza transformatorów. Zajmuje się również instalacją systemów monitoringu stanu urządzeń wysokiego napięcia i szeregiem innych usług na rzecz wiodących firm różnych sektorów przemysłu. Posiada własne laboratorium, w którym wykonuje badania i analizy oleju elektroizolacyjnego transformatorów mocy, przekładników, izolatorów przepustowych, czy podobieżeniowych przełączników zaczepów.

Usługi remontowe urządzeń elektroenergetycznych to sektor wyspecjalizowany. Efektywność i bezpieczeństwo prac zależą w największym stopniu od kompetencji personelu. Szef Energoaudit zaznacza, że szkolenie fachowca do samodzielnego działania wymaga w praktyce nawet 5 lat pracy pod nadzorem: – Cieszy mnie w związku z tym stosunkowo niska rotacja kadry w naszym przedsiębiorstwie. W wielu przypad-



kach są to przedstawiciele drugiego pokolenia rodzin. Potwierdza to zarówno dużą stabilność firmy jako pracodawcy, jak i wysoki wskaźnik kompetencyjny specjalistów. W pracach realizowanych przy wysokich napięciach, systemy szkoleń, procedury i kultura BHP są nie mniej istotne, niż wyposażenie techniczne. To one minimalizują ryzyko wypadków i przestojów krytycznych. – My oczywiście wiemy, jak pracować bezpiecznie. Bazujemy na szeregu szkoleń własnych, jak i według zasad inwestorów czy

właścicieli obiektu. Większość naszej kadry pracowała wcześniej w energetyce i traktuje tę pracę jako służbę na rzecz bezpieczeństwa energetycznego – podkreśla M. Zajac.

Diagnostyka, monitoring i wyzwania wdrożeniowe

Nowoczesne narzędzia nadzoru nad infrastrukturą energetyczną pozwalają zaistniałym problemom, świadomym działaniem wyprzedzającym. Na przykład dzięki systemom monitorującym zawartość gazów w oleju w transforma-

torach czy wylądowań w generatorach, technicy błyskawicznie wiedzą jakie czynności podjąć. Zwiększa to skuteczność serwisu, skraca czas reakcji i redukuje ryzyko awarii. Jednocześnie montaż i uruchomienie transformatorów dużej mocy wiąże się z dodatkowymi procedurami, zwłaszcza gdy urządzenia pochodzą od zagranicznych producentów, np. z krajów azjatyckich, gdzie obowiązują odmienne specyfikacje. Adaptacja dokumentacji, testów homologacyjnych i logistyki wymaga elastycznych kompetencji inżynierskich i organizacyjnych. W praktyce oznacza to, że takie firmy, jak Energoaudit, muszą równolegle inwestować w narzędzia diagnostyczne, flotę operacyjną i stałe doskonalenie kadry.

ZUT Energoaudit stawia również na nowoczesne rozwiązania wszędzie tam, gdzie jest to nieodzowne, zachowując ekonomiczną równowagę pomiędzy inwestycją w nową technologię, a modernizacją dotychczas stosowanej. Jako

jedyny przedstawiciel w Polsce marki Qualitrol amerykańskiej firmy Iris Power, oferuje zaawansowane systemy diagnostyczne, m.in. monitoring online stanu technicznego turbogeneratorów. Skuteczna transformacja energetyczna nie obejmuje wyłącznie inwestycji w nowe urządzenia i nie eliminuje ważnej roli remontów. Wręcz przeciwnie, modernizacja infrastruktury jest integralnym elementem bezpieczeństwa i zrównoważonej eksploatacji. Aby jednak była realną alternatywą, potrzebna jest polityka oparta na dłuższych horyzontach ekonomicznych, uwzględniająca koszty cyklu życia urządzeń oraz wsparcie dla szkoleń branżowych. Kluczowym pozostaje realistyczne podejście do wydatków, logistyki i kompetencji. Tylko wtedy remont będzie rozwiązaniem nie tylko doraźnym, lecz działaniem strategicznym.

Joanna Chrustek



Dlaczego silna i odporna psychika to najważniejsza kompetencja przyszłości?

W czasach, w których presja rośnie szybciej niż nasze możliwości regeneracji, coraz częściej zadajemy sobie pytanie: jak zbudować odporność psychiczną? Prof. Małgorzata Dobrowolska, psycholog, mentor, terapeuta, dyrektor szkoły biznesu i studiów MBA na Politechnice Śląskiej oraz badaczka odporności psychicznej, wyjaśnia, że ta kompetencja jest absolutnym „must have” i można ją wytrenować.

Czym właściwie jest ta „silna psychika”?

Najpierw powiem, czym nie jest. Nie ma nic wspólnego z twardością. Nie jest też pancerzem, który chroni przed odczuwaniem bólu, ani supermocą, która sprawia, że niczym się nie przejmujemy, bo to częsty mit, z którym się spotykam. Człowiek odporny doświadcza wszystkich emocji, wie, że słabości są częścią życia. Wciąż mylimy odporność z „twardością”, a tymczasem człowiek twardy często pęka, jak szkło w pierwszym poważnym kryzysie.

Silną psychiczną jest elastyczność: zdolność ugięcia się, przesunięcia akcentów, przyznania „to mnie boli”, „tego się boję”, a potem wykonania tych wszystkich kroków, które są potrzebne do życia silnego i szczęśliwego. Większość osób, przychodząc do mnie dysponuje takim mitem, że można być albo silnym, albo szczęśliwym, a tam wszędzie jest koniunkcja, czyli można być i silnym i szczęśliwym. Każdy z nas ma do tego zasoby – wiele z nich latent-



prof. Dobrowolska

nych, czyli ukrytych. Dopiero kiedy nauczymy się je aktywować, zaczynamy widzieć, jak ogromny potencjał w nas tkwi. A odkrycie tej wewnętrznej infrastruktury potrafi

zmienić sposób, w jaki człowiek staje wobec świata i na tym polega praca diagnosty i mentora, takiego jak ja. Pomagam liderom wydobyć cały swój potencjał.

Mówi Pani o epoce przecięcia. Czy rzeczywisty świat osłabia nas bardziej niż kiedyś?

Zdecydowanie tak. Nigdy wcześniej ludzkie systemy nerwowe nie były wystawione na tak ogromną liczbę bodźców, porównań, oczekiwań i lęków. Współczesny człowiek działa jak komputer z otwartymi kilkunastoma kartami – niby działa, ale coraz wolniej, coraz bardziej na granicy przecięcia. Żyjemy w kulturze, w której czekanie traktuje się jak porażkę. Tymczasem psychika rozwija się w tempie biologicznym, a nie w tempie powiadomień z telefonu. I to zderzenie prędkości – świata zewnętrznego i naszego wnętrza – generuje największe napięcia. W dodatku większość z nas żyje dziś w trybie ciągłej dostępności. Pracujemy do późna, odpowiadamy na wiadomości w nocy, nie pozwalamy sobie zniknąć choćby na kilka godzin. A system nerwowy ma swoje prawa. Jeśli ciągle jest w trybie „gotowości bojowej”, zaczyna działać gorzej, krócej

i bardziej nerwowo. To nie jest słabość, to mechanizm biologiczny.

Często powtarza Pani, że ludzie nie znają własnych możliwości. Co to znaczy?

Większość z nas korzysta tylko z ułamka swoich predyspozycji, psychologia nazywa je, wspomnianymi już przez mnie, cechami latentnymi. Badania wskazują, że wykorzystujemy zaledwie 20 procent naszych możliwości. Odporność zaczyna się tam, gdzie człowiek widzi wpływ: „To ja wybieram, na czym się skupiam. To ja decyduję, w jakich relacjach jestem. To ja mogę przerwać schemat, który mi szkodzi”. To nie arogancja, to samoświadomość. I co ważne – to źródło wolności, a nie napięcia. Człowiek świadomy siebie przestaje się bać własnych emocji, a to zmienia wszystko.

Jak więc ćwiczyć tę odporność na co dzień?

Po pierwsze: świadomość. Nie chodzi o medytację, lecz o realny kontakt ze sobą. Kilka minut dziennie, by zapytać same-

go siebie: „Co czuję?”, „Co mną kierowało?”, „Co mnie wzmocniło, a co osłabiło?”. Bez tego wszystkie inne działania są intuicyjne. Po drugie: granice. Żyjemy w kulturze przecięcia. Stawianie granic to nie egoizm – to szacunek do własnych zasobów. Kto je ignoruje, prędzej czy później płaci zdrowiem, relacjami albo poczuciem sensu. Po trzecie: mikrozmiany. Odporność rośnie w codziennych, drobnych aktach: w sposobie, w jaki reagujemy na krytykę, w tym, czy dajemy sobie odpocząć zanim organizm sam i bez pytania nas o zdanie wymusi na nas przerwę. I jeszcze jedno: łagodność, czułość wobec siebie. Bez niej każde działanie staje się kolejnym projektem „do zrobienia”, a odporność nie jest projektem, tylko procesem.

Rozmawiała Maria Leżucha

Zapraszamy na: <https://malgorzatabrowolska.pl/>



Hybrydowy wzorzec dekarbonizacji ciepłownictwa w systemie miejskim

Stereotypem jest pogląd, że rezygnacja z węgla w systemie energetycznym gminy polega na wymianie kotłów. Przykład transformacji Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej w Brodnicy (woj. kujawsko-pomorskie) wyraźnie wskazuje, że proces ten łączy restrukturyzację finansową, modernizację źródeł i sieci oraz hybrydowe wykorzystanie gazu, biomasy i energii elektrycznej, z istotnymi następstwami dla lokalnej gospodarki i polityki klimatycznej.

Odwagne decyzje

Formalne początki brodnickiego PEC sięgają lat 70., kiedy w strukturach Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej w Bydgoszczy zaczął działać Rejon Brodnica powstały na bazie dawnej kotłowni Zakładów Sprzętu Motoryzacyjnego. W 1974 r. do sieci podłączono dwa pierwsze, nowo wybudowane bloki mieszkalne, a w 1976 r. Rejon zaczął podlegać wojewódzkiemu PEC-owi w Toruniu. W miarę podłączania następnych budynków zaistniała konieczność rozbudowy ciepłowni, którą zakończono w 1987 r. W 1992 r. na mocy ustawy o prywatyzacji zakład skomunalizowano, mienie przekazano miastu i powołano do życia PEC Brodnica Sp. z o.o. ze 100-proc. udziałem gminy. – Kiedy objąłem stanowisko szefa przedsiębiorstwa w 2012 roku, zakład borykał się z poważnymi problemami finansowymi i przestarzałą infrastrukturą – wspomina Grzegorz Malinowski-Pesta, Prezes Zarządu spółki, który podjął się ambitnego zadania jej restrukturyzacji. Kluczowymi były decyzje związane z konsolidacją zadłużenia, opracowaniem biznesplanu i wdrożeniem programów optymalizacyjnych. – Utorowało to drogę do inwestycji w kogenerację gazową i modernizację sieci. Wymieniono kotły, wprowadzono preizolowane rurociągi (ok. 90 proc. sieci) i rozbudowano liczbę węzłów. System uruchomiono pod koniec 2018 r., co oznaczało przejście zakładu na produkcję skojarzoną ciepła i prądu. W efekcie dostarczamy ciepło do około 80 proc. budynków w mieście. Eksploatację ostatnich kotłów węglowych zakończono w 2023 r., co formalnie oznaczało pełną dekarbonizację systemu ciepłowniczego Brodnicy, a miasto zostało pionierem w dziedzinie transformacji energetycznej na poziomie lokalnym w Polsce – podkreśla G. Malinowski-Pesta.

Hybrydowy system Transformacja energetyczna w Brodnicy łączy kilka mo-

Hybrydowy system

deli: wysokosprawną kogenerację na gaz, rozproszone OZE (farmy PV i panele dachowe o mocy instalacji ok. 380 kW) oraz akcesoryjne źródła – kocioł na biomasę 3 MW i kocioł elektryczny 2 MW – co tworzy mix techniczny zwiększający odporność systemu.



Grzegorz Malinowski-Pesta, Prezes Zarządu PEC Sp. z o.o. w Brodnicy na tle kotła gazowego VISSMANN VITOMAX o mocy znamionowej 9,95 MW

W skali krajowej doświadczenia brodnickiego PEC potwierdzają wnioski analiz technicznych: dekarbonizacja ciepłownictwa systemowego wymaga dopasowania wariantów technologicznych do lokalnej struktury sieci i finansowania modernizacji. – Postulat dla ustawodawcy, i samorządów i regulatorów, jest taki, że konieczne są spójne instrumenty finansowe (dotacje, pożyczki, mechanizmy rynkowe), programy na rzecz wymiany sieci oraz planowanie, które przewiduje hybrydowe źródła i sprzedaż nadwyżek energii dla stabilizacji finansów zakładu. W naszym przedsiębiorstwie pozwoliło to w znacznej mierze bilansować zakupy paliw i zwiększyć rentowność usług

– zaznacza prezes brodnickiego PEC.

Rewolucja energetyczna brodnickiego zakładu pokazuje, że odejście od węgla w gospodarce ciepłej jest procesem złożonym. Technologia musi iść w parze z uporządkowaniem finansowym, modernizacją sieci i dostępem do instrumentów wsparcia. Dla polityki krajowej model ten stanowi wskazówkę, że nie ma jednego, uniwersalnego rozwiązania. Są za to powtarzalne etapy przygotowania i wdrożenia, które dają realne korzyści środowiskowe i budżetowe. Transformacja systemowa wymaga oceny wariantów technologicznych i wsparcia finansowego, jeśli mamy sprostać celom redukcji emisji w sektorze ciepła.

Joanna Chrustek



Reklama



WYPOSAŻENIE DLA HANDLU

- TERMINALE PŁATNICZE ●
- URZĄDZENIA FISKALNE ●
- SKANERY KODÓW ●
- SYSTEMY POS ●
- DRUKARKI ●



DATECS-POLSKA Sp. z o. o.
handel@datecs.pl
www.datecs-polska.pl

Kuźnia kadr nauk ścisłych

O nowej siedzibie, rosnącym zainteresowaniu studiami drugiego stopnia, pracami nad powołaniem konsorcjum naukowego i o prowadzonych zajęciach dla uczniów szkół podstawowych w rozmowie z dr. hab. inż. **Januszem Mikułą**, prof. PK, Dziekanem Wydziału Inżynierii Materiałowej i Fizyki Politechniki Krakowskiej im. Tadeusza Kościuszki

Pod koniec ub. roku uczelnia kupiła nowy budynek dla Państwa Wydziału. Jak to przyniesie zmiany organizacyjne? Dotychczas Inżynieria Materiałowa i Fizyka były podzielone terytorialnie. Teraz obie katedry będą znajdować się w bardzo bliskiej odległości od siebie, co będzie dużym ułatwieniem logistycznym dla studentów i pracowników. Budynek, w którym będzie mieściła się Katedra Fizyki, ma powierzchnię ponad 5 tys. m kw. i znajduje się na terenie naszego kampusu w dzielnicy Czyżyny, która powoli staje się swoistą „naukową doliną innowacji”. Obiekt wzmocnił znacząco naszą infrastrukturę dydaktyczno-badawczą. Dla kierunku materiałowego powstaną tam dodatkowe laboratoria.

Jak kształtuje się oferta naukowa Wydziału i w jaki sposób przyciągają Państwo do siebie młode talenty?

Zakończył się nabór na drugi stopień studiów na trzech kierunkach – Materiały konstrukcyjne, Fizyka techniczna z modelowaniem komputerowym i Inżynieria spajania, która do nas powraca po kilku latach nieobecności. W sumie kształcić się będzie ponad 60 osób.

Mamy dość duże nabory, a studentami są głównie nasi absolwenci pierwszego stopnia. Jest również coraz więcej kandydatów na studia doktoranckie. Obecnie mamy otwarte 34 przewody. Jak na nasz niewielki Wydział jest to znacząca liczba.

Nasi studenci stanowią elitarną grupę osób, które wiedzą, co chcą osiągnąć w życiu. Absolwenci, w dobie tak szybkiego tempa rozwoju wysokich technologii, są niezmiernie pożądanymi osobami na rynku pracy, co potwierdzają badania losów naszych absolwentów.

Od pewnego czasu uświadamiamy w tym również najmłodszych, prowadząc zajęcia z matematyki, fizyki i inżynierii materiałowej dla uczniów szkół podstawowych. Chcemy rozbudzić wśród nich zainteresowanie naukami ścisłymi. Być może w tym gronie są nasi przyszli studenci. Zimowe „półkolonie” dla szkół podstawowych okazały się tak dużym sukcesem, że chcemy je kontynuować w wakacje z uczniami szkół podstawowych i średnich.

A jakimi znaczącymi dziedzinami zajmują się obecnie ośrodki badawcze Wydziału?

Są to m.in. prace związane z biomateriałami dla nowych generacji terapii antyrakowych, np. leczenia czerniaka, opatrunki żelowe. Nadal naszym oczkiem w głowie pozostają badania nad geopolimerami, drukiem 3D oraz materiałami izolacyjnymi. Powstaje nowe laboratorium obróbki laserowej metali oraz druk metodami spawalniczymi, do którego pozyskaliśmy grant na zakup urządzeń. Rozwija się również nasze Centrum Zaawansowanych Materiałów Funkcjonalnych i Technologii Biomimetycznych 4D. Podjęliśmy decyzję o zatrudnieniu kolejnych pracowników, a 10 osób realizuje tam swoje przewody doktorskie.

A czy pojawiły się nowe obszary współpracy Wydziału z podmiotami zewnętrznymi?

Chcemy powołać konsorcjum naukowe w ramach programu Horyzont Europa. W jego skład wejdzie co najmniej 5 jednostek z różnych krajów. Politechnika Krakowska od lat ściśle współpracuje z uczelniami zza granicy, m.in. ze Szwecji, Norwegii, Włoch, Niemiec, Hiszpanii, czy z Chin. Na Wydziale Architektury co roku uczy się ponad 100 chiń-

skich studentów. My również chcemy uruchomić studia dualne z jedną z uczelni tego kraju. Zajęcia odbywać się będą zarówno na naszej Politechnice, jak i na uniwersytecie partnerskim, a absolwent zdobędzie podwójny dyplom.

Politechnika Krakowska czyni starania o nadanie statusu naukowego. Co to będzie oznaczało w praktyce?

To potwierdzi naszą pełną rolę akademicką. Uczelnia taka, oprócz nauczania studentów, jest uprawniona i zobowiązana do prowadzenia badań, kształcenia kadry naukowej, nadawania stopnia doktora habilitowanego, jest placówką o wyższym prestiżu, rozwijającą nowe dziedziny wiedzy. Przygotowujemy się do tego już od 3 lat i mamy dużą szansę na znalezienie się grupie 10 tego typu uczelni w Polsce. Będziemy mogli liczyć na większe dofinansowanie, a więc prowadzić zajęcia na jeszcze wyższym poziomie.

Rozmawiała
Zuzanna Pawelczyk



Inwestuj w przyszłość firmy z leasingiem w ING

Leasing jest jednym z najważniejszych narzędzi finansowania inwestycji w polskich firmach. W 2025 roku firmy leasingowe sfinansowały aktywa o wartości 119,5 mld zł, wynika z danych Związku Polskiego Leasingu. Najczęściej korzystają z niego mikro- i mali przedsiębiorcy. Za 53 proc. całego rynku odpowiadają właśnie firmy o rocznych obrotach do 5 mln zł.

– Leasing to dla naszych klientów przede wszystkim strategiczne narzędzie rozwoju. Pomaga inwestować odważnie, reagować szybciej na zmiany rynkowe i budować przewagę na rynku. Jest często pierwszym wyborem przy unowocześnianiu parku maszynowego, floty pojazdów czy inwestycjach w technologie. Digitalizacja procesów i możliwości załatwienia większości formalności online sprawiają, że jest coraz prostszy i łatwiej dostępny także dla mniejszych firm – mówi **Magdalena Ciechomska-Barczak**, prezes zarządu ING Lease (Polska) Sp. z o.o.

Kontynuacja wzrostu rynku

Związek Polskiego Leasingu prognozuje, że w 2026 r. rynek leasingu dalej będzie rósł i osiągnie wartość 129,7 mld zł. Będzie to około 8 proc. więcej niż w 2025 r. Optymistyczne prognozy wynikają z kumulacji dużych projektów inwestycyjnych realizowanych dzięki środkom z KPO oraz aktualnej ujemnej perspektywy budżetowej. Według szacunków ZPL nakłady inwestycyjne finansowane z tych źródeł mogą się

gnąć ok. 182 mld zł, wobec 63 mld zł rok wcześniej.

To znaczący impuls, który może dodatkowo pobudzić inwestycje prywatne, w tym te realizowane przez sektor MŚP.

Prościej i szybciej

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom i potrzebom przedsiębiorców rynek leasingu w Polsce dynamicznie się zmienia. Coraz więcej leasingodawców, w tym ING Lease (Polska), udostępnia narzędzia cyfrowe pozwalające zawrzeć umowę na odległość.

– W ING Lease (Polska) umożliwiamy przedsiębiorcom składanie wniosków zdalnie, zapewniamy szybkie decyzje online i maksymalnie zmniejszamy liczbę dokumentów potrzebnych do zawarcia umowy. W efekcie firma może w ciągu kilku godzin pozyskać finansowanie na auto, sprzęt lub maszynę, zachowując pełną przejrzystość kosztów i harmonogramu spłat. Coraz więcej klientów korzysta z podpisywania umów online. W ING Lease (Polska) w styczniu tego roku aż 79 proc. umów zostało podpisanych zdalnie. Przy okazji wszystkie potrzebne do-

kumenty i informacje może w każdej chwili sprawdzić w aplikacji Moje ING lub ING Business. To bardzo proste i intuicyjne narzędzia dostępne każdego dnia, 24 godziny na dobę – podkreśla **Magdalena Ciechomska-Barczak**.

Te innowacje zmieniają rynek leasingu. W praktyce wystarczy dziś mieć internet i podstawowe dokumenty finansowe swojej firmy, aby wziąć leasing. Nie trzeba jechać do oddziału, wypełniać formularzy czy czekać kilka dni na decyzję. Aktywność potrzebna do firmy można pozyskać nawet w dniu na dzień.

To szczególnie ważne dla mikroprzedsiębiorców i małych firm, które często decydują się na szybkie finansowanie samochodu czy wyposażenia do biura. Zamiast skomplikowanych procedur bankowych mają prosty wniosek, jasne wymagania i szybką odpowiedź. Dzięki temu przedsiębiorca może skupić się na prowadzeniu i rozwijaniu biznesu, z korzyścią nie tylko dla siebie, ale też całej gospodarki.



Reklama

ACTIVLAB[®]
DODA D'EAU
activlab.pl

DOBRA MARKA 2025

Nowy wymiar logistyki chemicznej

Czy warto dziś inwestować w firmy logistyczne? Zdecydowanie tak – pod warunkiem, że są nowoczesne, działają strategicznie, dywersyfikują ryzyka i wyprzedzają rynkowe trendy, a nie tylko reagują na koniunkturę.

Dobrym przykładem takiego podejścia jest Trans Polonia Group. Spółka przeszła drogę od wyspecjalizowanego przewoźnika do operatora obsługującego złożone łańcuchy dostaw. Przejęcie w 2025 r. holenderskiej grupy Nijman/Zetank zwiększyło skalę działalności i rozszerzyło kompetencje, szczególnie w obszarze transportu intermodalnego. Połączona flota przekracza tysiąc jednostek, a operacje prowadzone są w modelu łączącym transport drogowy, kolejowy i morski.

Kluczową zmianą jest dostęp do infrastruktury portowej. TPG działa bezpośrednio w największych centrach logistycznych Europy – w rejonie ARA, zagłębiu Ruhry oraz na rynku brytyjskim, w pobliżu portów obsługujących przemysł chemiczny. Wieloletnia obecność N/Z w Wielkiej Brytanii zapewnia dobre rozpoznanie ryn-

ku i relacji biznesowych, umożliwiając obsługę klientów lokalnych i paneuropejskich.

Strategicznie spółka stawia na intermodal – rozwiązanie coraz ważniejsze dla przemysłu chemicznego i dużych producentów. Pozwala ono odebrać towar z terminalu portowego i dostarczyć go bezpośrednio do zakładu odbiorcy, niezależnie od miejsca produkcji.

Choć europejski przemysł wysyła dziś niepokojące sygnały, zapotrzebowanie na logistykę nie znika – towar zawsze musi dotrzeć do odbiorcy. Rynek stoi przed wyzwaniem, dlatego kluczowa staje się długoterminowa strategia. Firmy inwestujące w skalę i kompetencje budują przewagę na kolejne lata.

ALL



Polska w Okularach

Wzrok to najważniejszy zmysł – dzięki niemu poznajemy świat, cieszymy się codziennością, doświadczamy radości i pełni życia. To on pozwala aktywnie uczestniczyć w każdej chwili – od drobnych przyjemności po wielkie pasje. A jednak wielu z nas wciąż nie korzysta w pełni z możliwości, jakie daje nowoczesna optyka.



Łukasz Ruta,
Dyrektor Handlowy JZO

W Polsce aż 18 milionów osób potrzebuje wsparcia w widzeniu z bliska, a tylko co piąty Polak po 40. roku życia wybiera szkła progresywne, które pozwalają widzieć komfortowo na każdą odległość.

Jako lider rynku optycznego, w JZO nie ograniczamy się do tworzenia produktów – naszym celem jest poprawa jakości życia. Dlatego kontynuujemy ogólnopolską kampanię „Polska w Okularach”, która umożliwia każdemu życie w pełnym komforcie wzrokowym bez ograniczeń. To projekt, który łączy edukację społeczną z realnym wsparciem – nie tylko wyjaśniamy, czym jest prezbiopia, krótkowzroczność czy światłowrażliwość, lecz także pokazujemy, jak subtelne i nowoczesne mogą być dzisiejsze soczewki progresywne.

Zmiana języka ma znaczenie. Prezbiopia to „dojrzałość wzroku” – pokazujemy, że ten etap życia można przeżyć aktywnie, komfortowo i bez kompromisów. Codzienne czynności – czytanie,

Niezależni optycy stają się ambasadorami komfortu życia – otrzymują narzędzia edukacyjne i marketingowe, wsparcie w mediach ogólnopolskich, lokalizator online, a przede wszystkim możliwość budowania pozycji eksperta w swojej społeczności. Bo komfort życia idzie w parze z dostępem do rzetelnej porady i wsparcia profesjonalistów.

Ważnym elementem kampanii jest obecność Marzeny Rogalskiej. Jej autentyczność i zaangażowanie pokazują, że dojrzałość wzroczna nie jest ograniczeniem, a szkła progresywne dają wolność, wygodę i pewność siebie w każdej sytuacji. Program „100% Satisfakcji lub Wymiana” niweluje obawy związane z adaptacją i pozwala każdemu cieszyć się komfortem od pierwszego dnia użytkowania.

Nasza wizja jest jasna – każdy w Polsce ma prawo widzieć wyraźnie i korzystać z życia bez ograniczeń. Wyraźny wzrok ułatwia codzienne sprawy, pozwala podróżować, spotykać się, realizować pasje. To nasza misja – dawać komfort, pewność i swobodę w okularach, które naprawdę zmieniają codzienność.

Łukasz Ruta



Reklama

ACTIVLAB[®]
pharma

DOBRA MARKA 2025
BRAND OF THE YEAR 2025

Suplement diety
electroVit
ZESTAW ELEKTROLITÓW
ODPOWIEDNI DLA CAŁEJ RODZINY

Reklama

Uzdrowisko Łądek-Długopole S.A.
Termy. Natura. Regeneracja.

Łądek-Zdrój
Termy. Tradycja. Leczenie.
660 678 179
rezerwacja@uzdrowisko-ladek.pl

Długopole-Zdrój
Spokój. Natura. Regeneracja.
74 813 90 51
dlugopole@uzdrowisko-ladek.pl

**Komfortowe noclegi
i zabiegi lecznicze**
www.uzdrowisko-ladek.pl

Uzdrowisko
Łądek-Długopole SA

Reklama

Cat's Best®
100% włókien roślinnych

Zbrylający
drewniany
zwirek

Wielokrotnie nagradzany

WYBIERZ JAKOŚĆ

Świebodzice na szczycie ogólnopolskiego rankingu!

Złote Godło QI 2025 w prestiżowym programie Najwyższa Jakość Quality International to jasny sygnał dla całej Polski: w naszej Gminie standardy zarządcze i jakość obsługi mieszkańców są na najwyższym, europejskim poziomie. To nie przypadek, lecz efekt konsekwentnej pracy, która sprawia, że Świebodzice są wzorem profesjonalizmu i transparentności.



Paweł Ozga,
Burmistrz Świebodzic

Burmistrz Miasta, Paweł Ozga, od początku swojej kadencji stawiał na kompetencje i skuteczność. Złote Godło QI 2025 jest potwierdzeniem, że Świebodzice stają się coraz silniejszym ośrodkiem w regionie, dbającym zarówno o infrastrukturę, jak i potrzeby mieszkańców.

Rok 2025 był dla miasta czasem intensywnej pracy nad rozbudową i modernizacją infrastruktury. Krajobraz zmieniły liczne zadania drogowe. Nowe oblicze zyskały m.in. ulice: Polna, Chrobrego, Sportowa oraz Żwirki i Wigury.

Przywróciliśmy historyczny charakter ul. Fabrycznej, a największą metamorfozę przeszła ul. Dębowa.

Kluczowe były też inwestycje w potrzeby najmłodszych – Żłobek Miejski nr 1 przeszedł modernizację za 4,3 mln zł. Dbając o dziedzictwo i potrzeby społeczne, wsparliśmy remont kościoła św. Mikołaja oraz utworzyliśmy mieszkanie wspomagane. Modernizacja Wodnego Centrum Rekreacji oraz Hali Sportowej pozwoliła stworzyć obiekt, który stał się wizytówką regionu. Do magazynu przeciwpowodziowego trafił nowy sprzęt, a zasoby obrony cywilnej zostały uzupełnione. Kolejnym ważnym krokiem jest zakup nowoczesnej śmieciarki i kontenerów, co gwarantuje wyższą jakość usług komunalnych i lepszy standard sanitarny.

Rok 2026 upłynie pod znakiem nowoczesności, bezpieczeństwa i integracji. Stawiamy na głęboką transformację cyfrową w ramach projektu „Cyberbezpieczny Samorząd” oraz inwestycje w odnawialne źródła energii. Nie zapominamy o przestrzeni wspólnej – modernizacja obiektów sportowych oraz wsparcie dla Miejskiego Domu Kultury pozwolą na budowanie więzi społecznych poprzez wydarzenia o randze regionalnej. Każda decyzja Burmistrza Pawła Ozgi, jego Zastępcy Tobiasza Wysoczańskiego oraz Rady Miejskiej służy tworzeniu miasta przyjaznego dla każdego pokolenia.

PK

Twój partner usług finansowych

Bank Spółdzielczy w Pruszczu Gdańskim został założony w 1946 r.

Od początku stawiał na rozwój, stosując przejrzysty model biznesowy oparty na działalności depozytowo-kredytowej oraz rozliczeniowej.

W trakcie swojej historii BS w Pruszczu Gdańskim przechodził szereg przekształceń organizacyjnych, dostosowując się do zmian gospodarczych i wyzwań stawianych instytucjom finansowym w Polsce. Był jednym z pierwszych banków spółdzielczych, które wprowadziły bankowość internetową.

Dynamiczny rozwój nastąpił szczególnie po 1990 r., kiedy to bank zmodernizował swoje struktury, wprowadził szereg nowych produktów oraz rozpoczął trwający do dziś proces inwestowania w technologię. Jest dobrze zorganizowaną instytucją finansową o dużych kapitałach własnych i dynamicznym potencjale rozwoju. Zawdzięcza to dobrze wykształconej kadrze pracowniczej, otwartej na wyzwania, systematycznie podnoszonej jakości obsługi, rozwijanej ofercie oraz inwestycjom w infrastrukturę. To dzięki nim wdrażane są produkty i usłu-

gi oparte na coraz to nowszych rozwiązaniach technologicznych. Nieustannie postępujący proces cyfryzacji usług finansowych w tej instytucji zwiększa dostępność usług dla klientów, a także ułatwia zadania wykonywane przez pracowników.

Bank Spółdzielczy w Pruszczu Gdańskim znajduje się w czołówce tego sektora bankowości w Polsce, a zawdzięcza to dbałości o kapitały własne, a także zaangażowaniu w kulturalne, społeczne i gospodarcze życie lokalnej społeczności, co przejawia się wsparciem finansowym wielu inicjatyw.

Joanna Chrustek



Wyzwania zrównoważonego rolnictwa

Polska branża rolna funkcjonuje w warunkach złożonych uwarunkowań: rosnących kosztów produkcji, zmienności cen surowców, ograniczonej dostępności pracowników sezonowych oraz nasilających się wymogów regulacyjnych. Przykład Rolniczego Kombi-natu Spółdzielczego w Bądeczu (woj. wielkopolskie) ilustruje, że zróżnicowana produkcja pozwala adaptować się do zmiennych tendencji przy zachowaniu rentowności i innowacyjności.

Nowe perspektywy

Rok 2025 był dla polskiego sektora rolnego okresem kontynuacji złożonych trendów, obejmujących m.in. kumulację kosztów, presję na ceny produktów podstawowych i anomalie pogodowe, co obniżało marże. RKS w Bądeczu, jako czołowy polski producent mleka oraz hodowca bydła i trzody na równi z innymi przedsiębiorstwami swojej branży, odczuwał presję globalnej konkurencji i rosnące wymagania dobrostanowe. Równocześnie wdrażane technologie cyfrowe oraz praktyki agroekologiczne stały się impulsem zwiększania odporności na wstrząsy rynkowe.

RKS, z blisko 2 tys. ha gruntów oraz rozwiniętą strukturą chowu bydła i trzody, funkcjonuje od ponad 70 lat jako istotny gracz krajowego rolnictwa. Produkcja mleka na poziomie ponad 10 mln li-



trów pozyskiwanego za pomocą innowacyjnych robotów udojowych i przy zastosowaniu systemu monitorowania stada, oraz hodowla ok. 18 tys. tuczników rocznie, dowodzą efektywności zintegrowanej gospodarki mieszanego typu. RKS kolejny rok z rzędu osiągnął stabilne wyniki finansowe, potwierdzając swoją rentowność.

Polityka odporności

Strategia zarządzania RKS koncentruje się na automatyzacji, precyzyjnym nawożeniu przy zastosowaniu nawigacji satelitarnej i inwestycjach w technologie sensoringu glebowego. Kombinat uzupełnia je stałą modernizacją obiektów, inwestycjami w nowoczesny tabor pojazdów rolniczych i integracją sektorową, co przekłada się na zwiększenie wydajności oraz kontrolę kosztów operacyjnych.

Fundamentalnymi wyzwaniami na rok 2026 pozostaną

m.in. wahania cen mleka i produktów zwierzęcych, niedobory personelu oraz rosnące wymagania środowiskowe i weterynaryjne. W najbliższych miesiącach kluczowe będzie monitorowanie kierunków polityki unijnej, wsparcia udzielanego rolnikom oraz zdolność adaptacji do zmieniającego się popytu konsumenckiego. RKS Bądecz, dzięki strategicznej dywersyfikacji profilu łączącego produkcję roślinną i zwierzęcą, stoi na stabilnej pozycji, mogącej służyć jako punkt odniesienia dla innych podmiotów branżowych.

Joanna Chrustek

